Skarby
PODKARPACKIE

www.skarbypodkarpackie.pl
ISSN 1898-6579
Nr 3(34)2012 maj-czerwiec

Archeologia • Etnografia • Historia • Tradycja • Turystyka • Zabytki

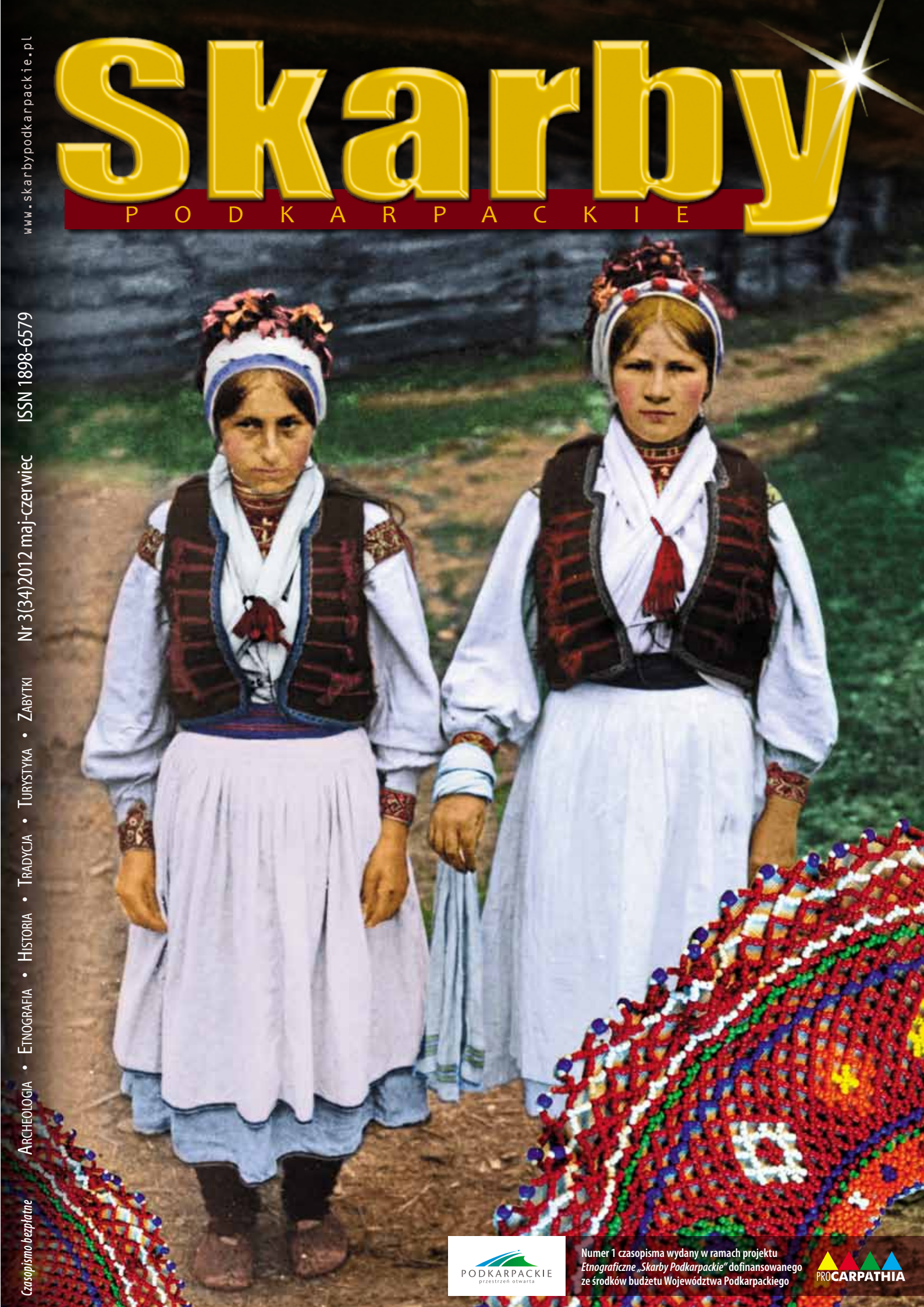

Czasopismo bezpłatne

PODKARPACKIE przestrzeń otwarta

Numer 1 czasopisma wydany w ramach projektu *Etnograficzne „Skarby Podkarpackie"* dofinansowanego ze środków budżetu Województwa Podkarpackiego

PROCARPATHIA

fot. Krzysztof Zieliński

Konkurs „Zabytek Zadbany”

18 kwietnia br. w kościele Najświętszej Marii Panny w Stargardzie Szczecińskim, podczas obchodów Międzynarodowego Dnia Ochrony Zabytków ogłoszono wyniki konkursu Generalnego Konserwatora Zabytków „Zabytek Zadbany”. Z województwa podkarpackiego zgłoszono 10 wniosków, czyli najwięcej w skali kraju.

Nominowane z naszego województwa były m.in. Muzeum Kultury Szlacheckiej w Kopytowej k. Krosna, zespół kościelny Sanktuarium Matki Boskiej Pocieszenia w Jodłówce, zespół cerkiewno-cmentarny cerkwi św. Paraskewy w Radrużu, dworzec kolejowy w Przemyślu, wieża obronna w Rzemieniu, zespół dworski w Łękach Górnych, zabytkowe piwnice w Budynku Magistratu w Przemyślu oraz wolnostojąca wieża przy archikatedrze w Przemyślu.

Andrzej Kołder

Laureatem nagrody w kategorii **„Ochrona wartości zabytkowej pojedynczego obiektu“** zostali Marta i Andrzej Kołderowie, właściciele dworu w Kopytowej k. Krosna za uratowanie zagrożonego zabytkowego dworu, przeprowadzone przy nim kompleksowe działania konserwatorskie oraz za wprowadzenie funkcji Muzeum Kultury Szlacheckiej.

Wyróżnienia w konkursie otrzymali w kategorii:

„Rewaloryzacja przestrzeni kulturowej i krajobrazu w tym założenia dworskie i pałacowe” – ks. Kazimierz Wójcikowski, proboszcz parafii rzymskokatolickiej Matki Bożej Pocieszenia w Jodłówce za kompleksowe prace konserwatorskie w przestrzeni zespołu sanktuarium obejmujące kościół, małą architekturę oraz komponowaną zieleń;

„Architektura i konstrukcje drewniane” – Muzeum Kresów w Lubaczowie za konsekwentną realizację programu prac konserwatorskich w zespole cerkwi św. Paraskewy w Radrużu;

„Architektura przemysłowa i dziedzictwo techniki” – Oddział Dworce Kolejowe Polskich Kolei Państwowych S.A. za kompleksowe prace konserwatorskie przy dworcu kolejowym w Przemyślu utrwalające i eksponujące wartości zabytku.

* * *

„Zabytek Zadbany” jest corocznym konkursem ogłaszanym przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Nadzór nad konkursem sprawuje Generalny Konserwator Zabytków. Od 2011 r. procedurę konkursową realizuje Narodowy Instytut Dziedzictwa. Konkurs skierowany jest do właścicieli, posiadaczy i zarządców zabytkowych obiektów wpisanych do rejestru zabytków. Jego celem jest promocja opieki nad zabytkami i upowszechnianie najlepszych wzorów właściwego utrzymania i zagospodarowania obiektów. Charakter edukacyjny konkursu polega na popularyzacji wiedzy dotyczącej właściwego postępowania z zabytkami architektury podczas ich użytkowania oraz w trakcie przeprowadzanych remontów.

Ocenie Jury konkursowego, w skład którego wchodzą wybitni naukowcy, konserwatorzy zabytków, podlegają jakość i zakres prac konserwatorskich, restauratorskich lub budowlanych, a także wykonane rewitalizacje zabytków architektury. Konkurs promuje właściwe użytkowanie zabytkowych obiektów, ochronę „substancji zabytkowej” podczas wykonywanych remontów, utrzymanie estetycznego wyglądu budowli oraz ich otoczenia, które nierzadko również wpisane jest do rejestru zabytków.

Grażyna Niegoda

dr Grażyna Stojak, Wojewódzki Podkarpacki Konserwator Zabytków z siedzibą w Przemyślu

– W nagrodzie dla Państwa Kołderów doceniono przede wszystkim zrealizowane wzorcowo prace konserwatorskie, poprzedzone rozpoznaniem historycznym i konserwatorskim. W wyniku tych robót oczyszczono piwnice, odsłonięto zamurowane szyje, wymieniono zdegradowane drewniane belki ścian, wymieniono strop w salonie, wymieniono i wyremontowano podłogi oraz stolarkę, zrekonstruowano formę dachu z zamianą eternitu na blachę. Co istotne, przywrócono dworowi pierwotny układ wnętrz stosując wysokiej klasy materiały, odtworzono ganki i portyk wgłębny. Wartość obiektu podkreśla zabytkowe, cenne wyposażenie oraz oczyszczony z samosiewów park z wyeksponowanym starodrzewem. Dwór użytkowany jest w sposób wzorcowy, otwarto w nim Muzeum Kultury Szlacheckiej, a na co dzień stanowi dom właścicieli. W skali naszego województwa dwór w Kopytowej jest unikalnym przykładem przywrócenia do życia zdegradowanego obiektu i nadania mu autentycznej formy. To wyłączna zasługa właściciela, który z pieczołowitością podszedł do tematu, mając na celu utrwalenie ginącej kultury szlacheckiej.

Odbudowany dwór w Kopytowej, od dwóch lat Muzeum Kultury Szlacheckiej

Spis treści

Historie zapomniane 4
Ratowanie świata ikon *Jacek Stachiewicz*

Dobra utracone 10
Przeszły czas drewna *Krzysztof Zieliński*

Etnografia 14
Grupy etniczne Karpat *Jolanta Danak-Gajda*

Historia i obrzędy 19
***Na Łemkowyni*, czyli wesele u Łemków** *Bartłomiej Grzegorz Sala*

Tradycje zapomniane 22
Z muzyką i tańcem *Bartłomiej Grzegorz Sala*

Świat utracony 24
W bieszczadzkim świecie Bojków *Bartłomiej Grzegorz Sala*

Tradycje kulinarne 26
Kuchnia w górach Łemków i Bojków *Robert Bańkosz*

Etnografia 29
Zamieszane nuty *Bartłomiej Grzegorz Sala*

Historia i obrzędy 31
Śmierć na *Łemkowynie* *Tomasz Kosiek*

Rękodzieło Karpat 34
Piec Dunikowskiego oraz cała reszta *Arkadiusz Komski*

Dobra uratowane 36
Kaplica „Kowalowa” *Szymon Modrzejewski*

Muzealnictwo 39
„Sybilla” dla Sanoka
100-lecie harcerstwa krośnieńskiego
Wystawa odznak federacji piłkarskich świata

Z pracowni konserwatora 40
Ikony pełne blasku *Katarzyna Winnicka*

Historie zapomniane 42
W Rymanowie najstarsze *Andrzej Potocki*

Spotkanie z dziełem 44
Refleks sztuki Rembrandta *Barbara Adamska*

Numer 1 czasopisma wydany w ramach projektu *Etnograficzne „Skarby Podkarpackie”* dofinansowanego ze środków budżetu Województwa Podkarpackiego

PODKARPACKIE przestrzeń otwarta

PROCARPATHIA

Drodzy Czytelnicy

Muszę posypać głowę popiołem i przyznać, że teksty etnograficzne oraz tematyka związana z tym zagadnieniem nie gościły zbyt często na łamach „Skarbów Podkarpackich”. Sprawa wydawała się oczywista, przecież Łemkowie i Bojkowie odmieniani są przez wszystkie przypadki na łamach wydawnictw i folderów dotyczących Podkarpacia. Miałem jeszcze świadomość, że jest przecież jeszcze tyle czasopism i stron internetowych tematycznie związanych z obszarem Beskidu. A poza tym – tak mi się wydawało – gdzie znaleźć etnografa, których zechce pisać bardziej popularne niż naukowe teksty?

Gdy więc konkurs na granty ogłoszony przez Urząd Marszałkowski Województwa Podkarpackiego określił tematykę etniczną, trzeba było zmierzyć się zarówno z tym zagadnieniem, jak i problemem poszukania autorów. Suma summarum dostaliśmy środki na druk dwóch kolejnych numerów „Skarbów”. Pierwszy, majowo-czerwcowy, który trafia właśnie do rąk Czytelników, poświęciliśmy etniczności na południe od A4, drugi (w przygotowaniu) przybliży to zagadnienie na obszarach na północ od linii Rzeszów–Przemyśl. Podczas prac przygotowawczych udało się nam zaprosić do zespołu kilku etnografów i regionalistów. Ba, jest nawet szansa, że ta współpraca potrwa dłużej, nie tylko przy okazji etnograficznych „Skarbów”. Z napisanych przez nich tekstów maluje się obraz regionu zamieszkiwanego do 1947 r. przez Łemków i Bojków, Pogórzan oraz Zamieszańców. Nie jest to idylliczny obraz, poznajemy ich dzieje i trudny codzienny los wręcz od kuchni. Ale poznajemy także barwne obrzędy i rytuały zarówno od weselnego święta, jak i smutku pogrzebu. Towarzyszy temu tekst o ceramice pokuckiej, z obszaru Huculszczyzny (obecnie w granicach Ukrainy), ale wtedy, gdy tworzono prezentowane zbiory, znajdujące się dziś w Muzeum Historycznym w Sanoku, rejon ten był jeszcze w granicach II Rzeczpospolitej.

Przy okazji pojawił się niezwykle ciekawy temat losów świątyń, generalnie cerkwi greckokatolickich, w latach 50. i 60. XX w. W czasach PRL-u dbano o dziedzictwo kulturowe bardziej w teorii niż w praktyce. Efektem tego było godzenie się w majestacie prawa na największą falę zniszczeń drewnianej architektury od czasów – moim zdaniem – nawały tatarskiej w XVII w. Rozwinięciem wywiadu z dr Barbarą Tondos jest krótki materiał o niszczeniu „świata drewna” i prezentacja skali destrukcji zabytkowych drewnianych świątyń (cerkwi, kościołów, synagog i zborów) w ciągu ostatnich 130 lat. Najbardziej pesymistyczny z tego zestawienia jest fakt, że najmniejsza liczba zburzonych obiektów sakralnych przypada na lata I i II wojny światowej. I nie zmienią tego, niestety, nawet tak wspaniałe działania, jakie realizują niezwykli ludzie zgromadzeni wokół Stowarzyszenia Magurycz.

Od lat trwa proces ratowania tego, co pozostało. Przykłady remontowanych dawnych cerkwi i kościołów idą już w dziesiątki, ale nie mniej ważny jest także los setek, tysięcy ikon, wyrwanych z cerkiewnych ikonostasów, i zapełniających w większości muzealne magazyny. Prezentujemy kilka z nich, ze zbiorów Muzeum Historycznego w Sanoku, które w ostatnich czasie odmieniły swój stan zachowania dzięki fachowym pracom konserwatorów tego muzeum. Porównanie zdjęć stanu dzieł sprzed i po konserwacji unaocznia z jednej strony skalę ich destrukcji, z drugiej zaś – możliwości współczesnej konserwacji, która potrafi przywrócić dziełu wygląd z czasu jego największej świetności.

Krzysztof Zieliński

Skarby Podkarpackie

dwumiesięcznik bezpłatny
nr 3(34), V-VI 2012, Rzeszów
ISSN 1898-6579

Wydawca: Stowarzyszenie na Rzecz Rozwoju i Promocji Podkarpacia „Pro Carpathia”

Redakcja: 35-064 Rzeszów, Rynek 16 (II piętro), tel./fax: 017 852 85 26
e-mail: krzysiek@procarpathia.pl; www.skarbypodkarpackie.pl; www.procarpathia.pl

Redaktor naczelny: Krzysztof Zieliński

Współpraca: B. Adamska, R. Bańkosz, A. Bednarczyk, J. Danak-Gajda, A. Komski, T. Kosiek, S. Modrzejewski, A. Potocki, B.G. Sala, J. Stachiewicz, D. Szuwalski, E. Wawrzkiewicz, K. Winnicka

Opracowanie graficzne, łamanie: KORAW Dorota Kocząb

Druk: RESPRINT Rzeszów **Nakład:** 2000 egz.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo redagowania nadesłanych tekstów. Kopiowanie i rozpowszechnianie publikowanych materiałów wymaga zgody Wydawcy.

© **Copyright by** Stowarzyszenie „Pro Carpathia”

Na okładce: Bojkinie, fotografia koloryzowana przez S. Trafalskiego, w zbiorach Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku

fot. Barbara Tondos i archiwum rodzinne

Ratowanie świata ikon

UMWM

Rozmowa z dr Barbarą Tondos, historykiem sztuki

Dr Barbara Tondos, historyk sztuki i badacz architektury drewnianej, jest laureatem nagrody im. Mariana Korneckiego przyznanej w 2011 r. za wybitne osiągnięcia w dziedzinie ochrony zabytków architektury drewnianej Małopolski. Nagrodę przyznał Marszałek Województwa Małopolskiego. Wyboru dokonał Zarząd Województwa z rekomendacji kapituły nagrody. Zasiadający w niej eksperci wyróżniają osoby, które dbają o utrzymanie zabytków lub adaptują obiekty do nowych funkcji związanych z turystyką. Kapituła docenia też osoby, które przez lata badają i dokumentują zabytki.

Jacek Stachiewicz: – Jak Pani weszła w świat cerkwi i ikon?

Barbara Tondos: – To było jesienią 1956 r. Jeszcze przed magisterium, choć już po studiach na Uniwersytecie Jagiellońskim, zostałam wysłana do Osieka przez rzeszowskiego konserwatora zabytków. Był tam XVII-wieczny drewniany kościół, stare domy, strzelniczki na polach i chłopi zaciekawieni nowymi wieściami z radia. Wszystko zdumiewające, nowe, a potem szybko znikające. Bodaj następny był zaśnieżony wyjazd z Czarnej do Rosolina po dzwonnicę cerkiewną dla skansenu, który jeszcze nie miał lokalizacji. Wieczorem przyjechałam do Czarnej na nocleg, do rodziny Tyszkiewiczów i o świcie wyruszyłam po dzwonnicę w dwie fury. Chłopi byli z lubelskiego, więc załadowanymi sankami chcieli jechać prosto w dół. Na szczęście ja, zakopianka, wiedziałam, że grozi to połamaniem końskich nóg. Takie było pierwsze moje spotkanie z drewnianą cerkwią. Potem przyszły następne, w trakcie prostych badań terenowych i opowieści z trzecich, a nawet czwartych ust, od ludzi, którzy jeszcze nigdy na oczy nie widzieli cerkwi. Takie przekazy budowały mit cerkwi, fascynowały nieznaną urodą, egzotyką i tajemnicą. Ówczesne władze chciały skazać mit sakralny na zniszczenie poprzez zapomnienie.

W książce *Losy cerkwi w Polsce po roku 1944* zamieściła Pani artykuł zatytułowany *Ochrona cerkwi na granicach legalności.* Co w waszych działaniach było „na granicach legalności”?

Trzeba by przywołać klimat tamtych lat, klimat polityczny i społeczny. Od epoki stalinizmu nie minęło jeszcze nawet pół dekady. Przyjechałam do Rzeszowa po raz pierwszy w 1957 r., a więc tuż po Październiku, który dał nam wszystkim nadzieję na wolność, otwartość, okruchy demokracji, ale Gomułka ten wolnościowy zryw zdusił i stłamsił. W przekonaniu rządzących krajem komunistów największym ich wrogiem była religia, wiara, obiekty i przedmioty kultu i wszystko, co się z tym wiąże. Represyjne instytucje stalinowskie zmieniły po Październiku swe nazwy, ale ludzie zostali i z ich tępych łbów nie wywietrzały dogmaty wtłoczone tam przez stalinowskich indoktrynerów. Wszystko więc, co wiązało się z wiarą i religią, traktowane było *a priori* jako ideologicznie niesłuszne, a więc podejrzane. Skoro ludziom odbierano stanowiska za to, że ochrzcili czy posłali do pierwszej komunii swoje dzieci, to jak w takiej atmosferze można było myśleć o wsparciu władzy dla ratowania przed zniszczeniem obiektów sakralnych i ich wyposażenia. Cokolwiek się więc robiło, to w większości przypadków cichaczem, bez rozgłaszania, gdzie i po co się jedzie. I zazwyczaj, przynajmniej w pierwszych latach, za darmo, a jeśli już jakieś wynagrodzenie było, to jedynie skromne diety.

Ale pisze też Pani, że wśród ludzi władzy byli i tacy, którzy pomagali i na dowód wymienia nazwisko Leonarda Czopika. Tylko jedno, niestety…

No właśnie. To był wyjątkowy człowiek. Zajmował stanowisko kierownika Wydziału Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej i miał świadomość, że niszczenie dokumentów przeszłości jest najskuteczniejszą drogą do zniszczenia narodu. Tymi grupami etnicznymi skazanymi przez ówczesne władze na zniszczenie byli Łemkowie i Bojkowie, których siedziby uznano za matecznik UPA. Za-

B. Tondos podczas inwentaryzacji ksiąg liturgicznych w latach 60. XX w.

płacili za to wysiedleniem. Wskazywaliśmy palcem zbrodnicze wysiedlenia stalinowskie, na przykład Tatarów Krymskich czy Niemców Nadwołżańskich, a przecież to samo zrobiono u nas, w Bieszczadach i Beskidzie Niskim. Trzeba było zniszczyć także całą warstwę religii i kultury wysiedleńców. Skoro zaś wszyscy oni żyli od wieków w Polsce, ich religia i kultura były przecież częścią naszej kultury. Skazując cerkwie na zniszczenie, skazywano na unicestwienie część polskiej kultury. Nie mogliśmy się z tak barbarzyńską ideą pogodzić.

W jaki sposób jeden człowiek, nawet na takim stanowisku, jak kierownik wydziału kultury, mógł się przeciwstawiać partyjnym dyrektywom, skrzętnie przecież wcielanym w życie przez bezwolnych aparatczyków?

A chociażby w ten sposób, że zadzwonił do dyrektora muzeum, np. w Sanoku i poprosił go, by podesłał nam samochód, którym mogliśmy przewieźć do magazynów wyposażania cerkwi. Albo milcząco pozwalać na realizowanie diet dla ludzi, którzy zajmowali się inwentaryzacją cerkwi i ich zabezpieczaniem. To nie były żadne spektakularne decyzje. Drobne kwestie, zazwyczaj w formie prośby, niemal nigdy w postaci polecenia czy rozkazu. Ale zsumowane dawały nam możliwość działania.

Była Pani pierwszą osobą ze środowiska historyków sztuki, która zajęła się ratowaniem cerkwi i ich wyposażenia?

Nie. Pierwsze działania zmierzające do zachowania świata cerkwi prowadzono już w latach 40. ubiegłego wieku. Trochę na ten temat można znaleźć w tekstach opublikowanych przeze mnie i moją córkę po śmierci mojego męża, Jerzego Tura, miedzy innymi w nr 38 „Almanachu Karpackiego Płaj", wydanego wiosną 2009 r. W latach 50. i 60. XX w. szereg cerkwi było już uszkodzonych zębem czasu, ale i rękę ludzką, a wyposażenie wielu z nich było rozkradzione i zniszczone. Już wówczas ich ratowanie było konieczne. Pierwsze składnice ikon utworzono w Sanoku, a następnie w Bieczu i grzechem byłoby nie wymienić takich ludzi, jak Hanna Pieńkowska, Bogdan Treter, Józef Dutkiewicz. Pełnej wiedzy na ten temat jednak nie mam. Kierowałam pracą grupy badaczy, nie zajmowałam się zarządzaniem. Natomiast wiem, że obok tych prawdziwych konserwatorów pojawili się pomagierzy, którzy bardzo szybko zorientowali się, jaka jest w przeliczeniu na pieniądze wartość ratowanych zabytków cerkiewnych. W efekcie mnogość ich zniknęła w prywatnych domach tych pomagierów albo tych, którzy ikony od nich kupili. Niedługo później widać je już było w salonach Desy i u handlarzy dziełami sztuki. Rozpoczął się szaber, który z mniejszym lub większym nasileniem trwał przez następne dekady.

Jak wyglądały cerkwie, gdy trafiła Pani do nich po raz pierwszy w 1957 r?

W wielu przypadkach stawałam na ich progu skamieniała z zachwytu. Wyglądały jakby wierni dopiero co z nich wyszli po zakończeniu nabożeństwa. Miały kompletne wystroje: obrusy na ołtarzach, w lichtarzach świece i nawet resztki kadzidła

Zdjęcie B. Tondos zrobione w latach 60. XX w., w czasie jednej z „wypraw inwentaryzatorskich"

Unikalne płaskorzeźby z rzędu Apostołów (I poł. XIX w.) z rozebranego w 1912 r. ikonostasu, fotografia zrobiona podczas pierwszej „wizyty" w dawnej drewnianej cerkwi greckokatolickiej w Górzance

zb. P. Klaja

Bandrów, cerkiew Narodzenia Bogurodzicy (1880 – lata 60. XX w.)

Internet

Beniowa, cerkiew św. Michała Archanioła (1909–1947)

M. Dragan

Chrewt, cerkiew św. Paraskewy (1670 – ok. 1956)

M. Dragan

Daszówka, cerkiew św. Dymitra (1835–1956)

R. Brykowski zb. WUOZ Del. Rzeszów

Krywka, cerkiew Niepokalanego Poczęcia NMP (1901–1957)

w trybularzach. Przez te trzy lata, do 1959 r., prowadziliśmy penetrację terenu. Nikt nie wiedział wtedy, ile tych cerkwi jest, gdzie dokładnie są, które spalono, a które zachowały się w całości lub częściowo. To była, rzec można, ich inwentaryzacja. Przeczesaliśmy wszystkie powiaty, w których znajdowały się cerkwie. Pomagali nam w tym studenci Uniwersytetu Jagiellońskiego i co ciekawe, w przeważającej mierze słuchacze slawistyki. Bazę wypadową założyliśmy w Sanoku, bo w tym miasteczku były najlepsze ku temu warunki. Współczesne pokolenie nie ma oczywiście pojęcia, że drogi, jeśli wtedy były, to w fatalnym stanie, a jakakolwiek komunikacja publiczna dopiero raczkowała. Bieszczadzką obwodnicę, dzięki której można było dotrzeć w głąb Bieszczadów, zakończono budować dopiero w 1962 r. „Akcję penetracyjną", jak nazywaliśmy naszą pracę, prowadziliśmy więc przede wszystkim „na butach". Zazwyczaj późną wiosną, latem i wczesną jesienią, gdy studenci mieli jeszcze wakacje. Pierwszym, który kierował w 1957 r. akcją rozpoznawania terenu i inwentaryzowaniem cerkwi, był historyk sztuki Feliks Wolski. Po nim ja się tym zajmowałam.

Podczas trzech sezonów udało się Pani zinwentaryzować wszystkie cerkwie w Bieszczadach, Beskidzie Niskim, także w powiatach przemyskim i lubaczowskim?

Tak, ale nie mnie, tylko nam. Zgłaszali się do nas młodzi ludzie, pełni entuzjazmu, świadomi, że będą uczestniczyć w ratowaniu przeszłości. Pamiętam jak w 1960 czy 1961 r., gdy rozpoczynaliśmy zwożenie wyposażenia cerkwi do pierwszej składnicy, przychodzili do mnie młodzi ludzie z wypiekami na twarzach, że oni chcą i muszą pomagać. Był wśród nich Staszek Latałło, późniejszy operator filmowy i reżyser, a także aktor, główny bohater *Iluminacji* Krzysztofa Zanussiego. Był także Karol Broniatowski, dziś mieszkający w Berlinie i znany w świecie ze swoich rzeźb postaci ludzkich z papieru gazetowego, także Daszka Abrachamowicz. Nie jestem w stanie odtworzyć losów wszystkich tych młodych ludzi, bez których nie zdołalibyśmy prowadzić naszego dzieła. Ci zapaleńcy, którzy nam pomagali, nie mieli oczywiście wiedzy historyka sztuki, ale byli bardzo solidni, rzetelni i drobiazgowi. Nie byli specjalistami, więc w inwentaryzowaniu wyposażenia cerkwi posługiwali się językiem zazwyczaj potocznym. Jeśli nie wiedzieli, jak dany przedmiot wyposażenia cerkwi nazwać, to go rysowali. Dokonane przez nich spisy inwentaryzacyjne znajdują się w Składnicy Ikon w Łańcucie. To bardzo oryginalna, bogata i niezwykle cenna dokumentacja. Nie tylko dlatego, że jedyna. Czyta się z niej emocje młodych ludzi uczestniczących w ratowani zabytków przeszłości.

Kiedy zaczęła powstawać składnica ikon w Łańcucie?

To bardzo skomplikowana historia. Jerzy Tur, ówczesny wojewódzki konserwator zabytków w Rzeszowie, zdawał sobie sprawę, że jeśli cerkwie pozostawi się samym sobie, to błyskawicznie ich wyposażenie zostanie rozkradzione. Trzeba więc było utworzyć jakiś magazyn, do którego będzie się zwozić w pierwszej kolejności najstarsze i najcenniejsze zabytki sztuki cerkiewnej. Szukał rozwiązania. Pytał pan, co, przy ostentacyjnej wręcz niechęci władz partyjnych, mógł zdziałać w kwestii ratowania cerkwi pojedynczy urzędnik. No więc Jerzy Tur wymyślił, że dla ikon, ikonostasów i innych elementów wyposażenia cerkwi utworzy się magazyn w muzeum w Łańcucie. W tych działaniach wspierał go właśnie Leonard Czopik. Chyba obaj wymyślili, że ten magazyn będzie się nazywał Wojewódzka Składnica Zabytków Ruchomych, nie zaś Składnica Ikon. Chodziło o to, by towarzyszy partyjnych nie biła po oczach nazwa jednoznacznie wskazująca na zabytki związane z wiarą i religią, w dodatku dotyczące zakazanego przecież obrządku greckokatolickiego. Przy drzwiach zebraliśmy więc świeckie starocie – jakieś stoliki, kredensy, krzesła, by ikony i inne elementy wyposażenia cerkwi nie kłuły w oczy partyjnych funkcjonariuszy, którzy czasem się tam pojawiali.

Pierwszy magazyn to była obszerna łazienka z przylegającym do niego małym pokojem. Byłam pierwszym i jedynym personelem tej składnicy przez pół roku. Nadal też prowadziłam dalszą penetrację terenu, organizowałam zwózkę wyposażenia cerkiewnego, rozpakowywałam je i układałam, wpisywałam do

Zdjęcie przedmiotów liturgicznych wykonane w czasie jednej inwentaryzacji

książki wpływów. Dopiero po sześciu miesiącach otrzymałam do pomocy jedną pracownicę.

Magazyn wymyślił Jerzy Tur, ale dyrektorem muzeum w łańcuckim zamku był Antoni Duda-Dziewierz. Był waszym stronnikiem?

Antoni Duda-Dziewierz, który miał w swoim życiorysie działalność spółdzielczą i społecznikowską, był akceptowany przez partyjne władze. To człowiek wielce zasłużony dla zamku i muzeum w Łańcucie. Można powiedzieć, że gdyby nie jego upór i determinacja, a nade wszystko umiejętność porozumiewania się z partyjnymi aparatczykami, siedziba Lubomirskich i Potockich byłaby dziś malowniczą ruiną, jak stało się to udziałem wielu rezydencji magnackich w czasach PRL-u. Ale w pierwszym roku działania magazynu ikon władze łańcuckiego muzeum niechętnie patrzyły na naszą pracę. Przyznam, że nie znam tego powodów. Później to się zmieniło.

Pani nie wzywano do partyjnego komitetu?

Wzywano, oczywiście. Zazwyczaj po to, abym się tłumaczyła, dlaczego w składnicy zabytków ruchomych jest tyle „świętych obrazków".

I co Pani odpowiadała?

Że składnica ma charakter ratowniczy wobec wszystkich zabytków ruchomych, a historia tak się potoczyła, że bardzo dużo jest wśród nich akurat elementów wyposażenia cerkiewnego.

Na jak długo wystarczyła na magazynowanie ikon i innego wyposażenia cerkiewnego łazienka i przylegający do niej pokój?

Na niedługo. Zbiorów było coraz więcej, więc władze muzeum przeznaczały na nie coraz to nowe, ale też, niestety, coraz to bardziej prowizoryczne pomieszczenia. Były także próby umieszczenia zbiorów w murowanej cerkwi w Krzywczy, w łańcuckiej synagodze i wreszcie w 1962 r. postanowiono przeznaczyć na cerkiewne zbiory połowę stajni cugowych wchodzących w skład zespołu zabudowań gospodarczych łańcuckiego zamku. Zaprojektowano ruchome ekrany, aby ułatwić pracę konserwatorom, a magazyn ikon miał funkcjonować jako magazyn studyjny. W 1963 r., aby władza nie miała pretekstu do obstrukcyjnych względem nas działań, magazyn ikon zmienił status i stał się częścią Międzymuzealnej Pracowni Konserwatorskiej. Byłam jej pierwszym kierownikiem.

Jak wyglądały cerkwie w 1960 r., gdy powstała składnica?

Gdy po dwóch–trzech latach wracałam do cerkwi, w których po raz pierwszy byłam między 1957 a 1959 r., stawałam na ich progu przerażona. Przerażona stanem dewastacji większości z nich. Nienaruszone zaledwie dwa–trzy lata wcześniej wnętrza, było teraz w bardzo wielu przypadkach wręcz zrujnowane. Poprzewracane ikonostasy, leżące bezładnie na podłodze ikony z powycinanymi twarzami świętych. Tak było między innymi w Ustianowej Dolnej. To było barbarzyństwo. Emocjonalnie bardzo to przeżywaliśmy.

Jaka była reakcja władzy na tę dewastację?

Było im na rękę, że za sprawą złodziei i szabrowników znikał świat zakazanej religii. Było na kogo zrzucić winę. Teraz nikt nie chce o tym pisać, ale za butelkę wódki chłop z PGR-u rozwalał cerkiew stalińcem, czyli spychaczem. Oczywiście nie ma na to dowodów. Tak jak nie ma dowodów na to, że cerkwie nie płonęły od świeczek, tylko specjalnie je podpalano.

Składnica Ikon w Muzeum-Zamku w Łańcucie. Na fotografii Krzysztof Tur, który również zaangażował się w ratowanie wyposażenia cerkwi

Kiedy nastąpiła eskalacja działań złodziei ikon?

Akurat w 1960 r., gdy uruchomiliśmy składnicę zabytków. To byli ludzie przeróżnej proweniencji. Wiedzieliśmy na przykład, że jednym ze szczególnie aktywnych szabrowników, aby nie powiedzieć – złodziei, był pewien znany krakowski adwokat, bądź co bądź przedstawiciel świata prawniczego. Pewnego dnia nieomal natknęliśmy się na niego, gdy wychodził z ikonami z jednej z cerkwi. Goniliśmy go po bieszczadzkich bezdrożach, ale miał lepszy samochód i nam uciekł. Po kilku dniach i mozolnych staraniach u władz, udało się nam zmusić je do działania. W asyście milicjantów zapukaliśmy do drzwi adwokata-złodzieja, ale do rewizji nie doszło. Szczwany lis zażądał od milicjantów nakazu sądowego, którego oczywiście nikt im nie dał. I na tym się skończyło. W salonach Desy w całym kraju, a szczególnie w Krakowie, zaczęło się pojawiać coraz więcej ikon. Szmuglowano je także za granicę, bo dla każdego, kto wyjeżdżał na Zachód, kilkadziesiąt czy kilkaset dolarów za sprzedaż ikony, to był po powrocie do kraju majątek. Zachodni handlarze kupowali te nasze ikony za bezcen, bo wiedzieli, że oferujący je Polacy są w sytuacji przymusowej i muszą je sprzedać.

Wnętrze niezachowanej kaplicy greckokatolickiej w Regietowie Górnym (powiat gorlicki)

Co Pani czuła, widząc ikony z bieszczadzkich i beskidzkich cerkwi na wystawach salonów Desy?

Bezradność i bezsilność. Na naszych oczach i przy absolutnej bierności władzy, ogromna część zabytków naszej kultury była rozkradana i w konsekwencji zanikała. Z 650 cer-

zb. P. Klaja

Lipie, cerkiew Opieki Matki Bożej (1900–1981)

zb. M. Szukala

Lutowiska, cerkiew św. Michała Archanioła (1898–1980)

zb. P. Klaja

Mików, cerkiew św. Michała Archanioła (1784 – przed 1955)

zb. M. Szukala

Mszana, cerkiew Zaśnięcia Bogurodzicy (1865 – koniec lat 50. XX w.)

zb. M. Dragan

Ruskie, cerkiew św. Michała Archanioła (1848 – po 1945)

zb. M. Dragan

Skorodne, cerkiew św. Paraskewy (1838–1972)

kwi znajdujących się w tej części eparchii przemyskiej, która po II wojnie światowej znalazła się w graniach państwa polskiego, zagładzie uległo 330, wśród nich aż 260 cerkwi drewnianych. W 1965 r., po wcześniejszym przekazaniu stanowiska, przestałam pracować w Łańcucie.

Dlaczego odeszła Pani od świata ikon i cerkwi?

Nigdy nie wyszłam z kręgu oddziaływania tego świata. Poznałam dzięki niemu wielu wspaniałych ludzi, m.in. prof. Leonarda Torwirta, który był głównym konsultantem pracowni i dbał o wysoką jakość prac konserwatorskich. Dojeżdżał do nas aż z Torunia. Nie odeszłam od tego świata, a on był całe te lata w stanie permanentnego zagrożenia. Także ze strony ludzi, których nigdy bym o to nie podejrzewała, bo reprezentujących świat szeroko pojmowanej kultury.

Kogo ma Pani na myśli?

W 1968 r. kręcono w Bieszczadach sceny do filmu „Pan Wołodyjowski". Proszę sobie wyobrazić, że filmowcy wpadli na pomysł i namówili Jana Góraka, ówczesnego wojewódzkiego konserwatora zabytków, do wyrażenia zgody, aby dla realizmu kręconych sekwencji pożaru Raszkowa podpalić i spalić cerkiew w Chmielu. I filmowcy i pan Górak zapraszali swoich znajomych na efektowne widowisko, jakim miało być spalenie tej cerkwi. Przypadek sprawił, że jeden z członków filmowej ekipy wygadał się o tym Marii Ziębińskiej, konserwatorowi zabytków w Przemyślu. Środowisko konserwatorskie zjednoczyło się i gremialnie domagaliśmy się zrezygnowania z tego aktu barbarzyństwa, próbowaliśmy zawstydzić pana Góraka, ale nawet notka w jednej z gazet, którą zamieścił Ryszard Brykowski, nie pomagały. Dopiero interwencja u prof. Jerzego Szablowskiego, który był głównym konsultantem filmu i który od nas dowiedział się, jaki jest zamiar filmowców, odniosła skutek. Stało się to dosłownie w ostatniej chwili, bo w dniu, w którym miano podpalić cerkiew. Ten epizod najlepiej świadczy o tym, na jak dalekim marginesie, także w świadomości wielu ludzi kultury, była w tamtych latach kwestia ochrony dziedzictwa kultury cerkiewnej. Ten świat był okradany, plądrowany, z premedytacją niszczony. I gdyby nie nasze środowisko konserwatorskie, nikt by się temu nie przeciwstawiał. Tym bardziej, że wszystko to działo się za przyzwoleniem ówczesnej władzy, która udawała, że nie wie, o co chodzi.

Ale także w tamtych latach były przypadki odrestaurowywania zniszczonych cerkwi.

Tak, ale niewiele. I niestety ilustrowały klasyczną zasadę, że wyjątek potwierdza regułę. Remont kilku najlepszych zabytków nie zmieniał oczywistego faktu popadania w ruinę i w konsekwencji zanikania całej warstwy kultury. Jeśli wcześniej, w przypadku rozkradania ikon i ikonostasów, mówiłam o naszej bezradności i bezsilności, którą staraliśmy się pokonać tworząc składnice ikon, to w przypadku budynków cerkwi sytuacja była spotęgowana i trudniejsza. Nie poddawaliśmy się uczuciu niemocy. Owszem, nie mieliśmy środków i akceptacji dla naszych działań, więc staraliśmy się robić, co tylko się dało. Działania konserwatora zabytków opisałam w cytowanym już almanachu „Płaj", ale oprócz tego powstało intelektualne środowisko badaczy architektury cerkiewnej, dzięki któremu dzisiaj zdajemy sobie sprawę z jej wartości dla polskiej kultury.

Kołatanie do drzwi partyjnych decydentów było równoznaczne z waleniem głową w ścianę?

Oczywiście. Rodziły się różne pomysły ratowania cerkwi, bo przecież doskonale zdawaliśmy sobie sprawę, że budowanie drewnianych cerkwi jest zakończone, a co za tym idzie, należało chronić wszystkie, które jeszcze wtedy istniały. Wśród tych pomysłów był trakt dla turystów zagranicznych wiodący przez podkarpackie zamki, do którego Antoni Duda-Dziewierz planował włączyć drewniane cerkwie. Ale leżały one zbyt daleko od głównych dróg i nic z tego nie wyszło, nie mówiąc już o tym, że szlak turystyczny obejmujący podkarpackie zamki też pozostał w sferze niezrealizowanych zamierzeń.

Jeden z rzeszowskich architektów zaproponował wtedy skoszarowanie najwartościowszych obiektów cerkiewnych na zboczach wokół cerkwi w Smolniku.

B. Tondos podczas realizacji filmu dokumentalnego o zabytkowych cerkwiach w latach 70. XX w.

Dzisiaj ten pomysł może się wydawać cokolwiek niedorzeczny, wszak każdy obiekt zabytkowy powinien pozostać w przestrzeni, w której powstał, ale uwarunkowania tamtych latach na pierwszym miejscu stawiały ochronę cerkwi przed całkowitym zniszczeniem. Zgromadzone w jednym miejscu dawałyby większą możliwość opieki nad nimi. Pomysł ten nie został zrealizowany, ale niemal natychmiast pojawił się następny i podobny w charakterze. Studiujący na Politechnice Wrocławskiej Waldemar Niezgoda tematem swojej pracy dyplomowej uczynił skansen cerkwi w dolinie Caryńskiego. Udało mu się dla tego projektu pozyskać rzeszowskie środowisko konserwatorskie, a Indze Sapetowej, która była wtedy Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków, doprowadzić do wydania decyzji lokalizacyjnej. Ale poza decyzją nie było niczego więcej, a już szczególnie pieniędzy.

Typowy krajobraz wsi bieszczadzkiej w latach 60. XX w., fotografia wykonana prawdopodobnie w okolicach Wojtkowej

Historyk sztuki Ryszard Brykowski zaproponował utworzenie wielkoprzestrzennego skansenu cerkwi, czyli umieszczenie ich przy drogach.

Ta propozycja pojawiła się w „Polityce", uzupełniona oskarżeniem lokalnych władz wojewódzkich o niszczenie cerkwi. Oczywiste więc było, że projekt nie uzyska ich akceptacji i tak się też stało. Zresztą pomysł ten był bardzo krytykowany także przez gremium służb ochrony zabytków. Ostatnim przedsięwzięciem środowiska konserwatorskiego, którego cel stanowiło ratowanie cerkwi, to próba utworzenia wioski turystycznej w dolinie Łopienki. Nic z tego nie wyszło, a następne inicjatywy ratowania cerkwi miały już charakter indywidualny i czysto społeczny.

Najbardziej spektakularnym przedsięwzięciem było zabezpieczenie cerkwi w Łopience przez Olgierda Łotoczko, który przyjął stanowisko bieszczadzkiego konserwatora zabytków tylko po to, aby tę cerkiew uratować od zniszczenia. Drugą osobą, której prywatne zaangażowanie doprowadziło do uratowania cerkwi przed unicestwieniem, była Zofia Szanter, też historyk sztuki. Po 1975 r. ogromnym wysiłkiem udało się jej doprowadzić do pełnej konserwacji cerkiew w Przysłupie. Należy jednak podkreślić, że tego typu działania nie pochodziły od władzy, lecz były czysto społeczne, wychodziły ze środowiska studenckiego. Do dzisiaj na różnych uczelniach tworzą się grupy studentów różnych profesji zaangażowanych w akcje inwentaryzacyjne i ratownicze dla cerkwi. Dokładniej poznałam działania studentów z Uniwersytetu Warszawskiego, Politechniki Łódzkiej (tu akcjom patronuje dr Włodzimierz Witkowski) oraz KUL-u, gdzie studiowała moja córka Katarzyna Tur-Marciszuk. Ona i inni studenci historii sztuki, m.in. Jarosław Giemza (obecnie kierownik Działu Sztuki Cerkiewnej Muzeum-Zamku w Łańcucie) organizowali wakacyjne obozy, w czasie których starali się wykonywać najbardziej niezbędne prace przy cerkwiach (Kruhel Wielki, Miękisz Stary, Opaka, Wólka Żmijowska) w celu ratowania ich przed zagładą.

Czy w tamtych latach można było więcej cerkwi uratować przez zniszczeniem?

Nie zależało to od środowiska konserwatorskiego. Na pewno można było uratować więcej, gdyby była chęć ze strony władzy, aby te zabytki ocalić i gdyby ta władza przeznaczyła na ten cel pieniądze. To było niemożliwe, ponieważ obowiązującą linią postępowania ówczesnych władz partyjnych w tej kwestii było skazanie cerkwi na zagładę za sprawą niszczącego działania czasu, złodziei, szabrowników i zwykłych wandali.

Miała Pani kiedykolwiek przed 1989 r. nadzieję, że nastaną czasy, w których znajdą się pieniądze na remont zabytków architektury sakralnej, a ikonostasy i ikony, które Pani zwoziła do składnicy, nierzadko furmankami, będą powoli wracać do cerkwi, których wyposażenie stanowiły w wielu przypadkach od setek lat?

Przez długie lata nie miałam nadziei na lepsze czasy dla zabytków i może dlatego z taką pasją oddawałam się mojej pracy. Wszyscy zaangażowani wówczas sercem w ratowanie kultury materialnej i zabytków bali się, że są ostatnimi, którym na tych zabytkach zależy. Po sierpniu 1980 r. zaczęła się tlić nadzieja, ale szybko zgasła. Odżyła w 1989 r. Cieszę się, gdy słyszę, że użytkownicy jakiejś cerkwi starają się odzyskać jej wyposażenie z dawnej składnicy.

A co ze znajdującymi się w niej ikonami i wyposażeniem cerkwi, których już nie ma?

Niech tworzą dostępne do oglądania przez wszystkich chętnych kolekcje w tych miejscach, gdzie się obecnie znajdują. „Bezdomne" będą świadectwem czasów, w których skazano je na zniszczenie, także świadectwem pracy i uporu konserwatorów oraz historyków sztuki, dzięki którym przetrwały do dziś. ■

Jedna z wielu zapomnianych beskidzkich kapliczek którą znalazła na swojej drodze B. Tondos

tekst Krzysztof Zieliński

Przeszły czas

Pod koniec lat 90. XX w. na terenie naszego kraju znajdowało się 2785 obiektów drewnianej architektury sakralnej: 1729 świątyń (kościołów, cerkwi, zborów, synagog i meczetów), 730 dzwonnic, 315 dużych kaplic i 11 kostnic. Najwięcej z nich położonych jest na terenie centralnej, południowej i wschodniej Polski; na obszarze Mazowsza, Małopolski, Podkarpacia i Podlasia. Te najcenniejsze i najstarsze, stanowiące świadectwo umiejętności budowniczych doby średniowiecza, przetrwały na terenie Małopolski i Podkarpacia. Blisko 70 kościołów z tego obszaru pochodzi z XV wieku, należą do nich m.in. kościoły w Haczowie, Bliznem, Domaradzu. A trzeba wiedzieć, że zrębowe kościoły i cerkwie tak jeszcze liczne w naszym regionie, są niewielką tylko częścią tego, co było w przeszłości.

fot. Pagowski, zb. WUOZ Del. Rzeszów

Bobrówka, cerkiew greckokatolicka Wniebowstąpienia Pańskiego, zbudowana 1734 r., rozebrana nielegalnie w 1988 r.

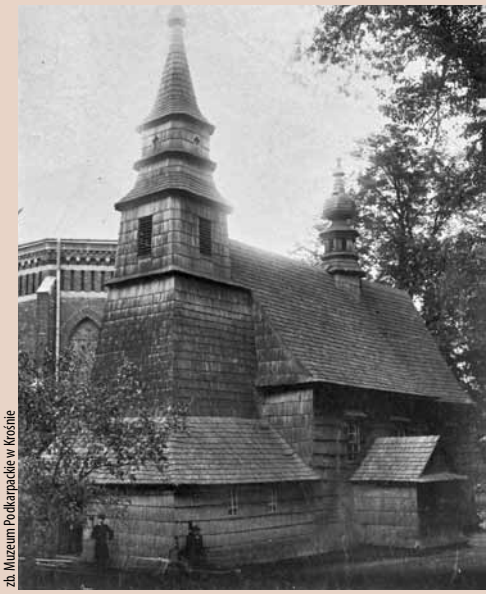

zb. Muzeum Podkarpackie w Krośnie

Bóbrka, kościół rzymskokatolicki św. Katarzyny, zbudowany w latach 1752–1768, rozebrany w 1908 r.

fot. A. Czerepiński, zb. WUOZ Del. Rzeszów

Brzuska, wnętrze cerkwi greckokatolickiej św. Mikołaja Cudotwórcy, zbudowanej w 1783 r., zawaliła się po 1955 r., spalona w 1984 r.

fot. J. Tur, zb. WUOZ Del. Rzeszów

Dmytrowice, wnętrze cerkwi greckokatolickiej Narodzenia Bogurodzicy, zbudowanej w 1634 lub 1641 r., rozebranej w 1956 r.

Witold Krassowski podaje, że pod koniec XV w. na ziemiach Królestwa Polskiego stało ok. 10 000 kościołów. Na przełomie XIX i XX w. Stanisław Tomkowicz opisał i obfotografował w powiecie jasielskim 33 wiekowe kościoły, z których do naszych czasów przestało istnieć 14, w tym aż 11 drewnianych. A warto zaznaczyć, że tylko jeden z nich (w miejscowości Łubienko) spłonął w wyniku działań wojennych, pozostałe utracone zostały w wyniku zaniedbań i niepodlegających żadnej kontroli rozbiórek, całkowicie bezkarnych. Jeszcze w okresie międzywojennym, w obrębie granic II Rzeczypospolitej, znajdowało się ponad 2700 świątyń wykonanych wyłącznie z drewna, a w liczbie tej nie uwzględniono obiektów o konstrukcji mieszanej, szachulcowej. W 1939 r. na terenie samej tylko dawnej diecezji przemyskiej istniały 1133 cerkwie. Po 1945 r., po zmianie granic wschodnich Polski, pozostało ich jeszcze 726, z których tylko 10 ucierpiało w czasie działań wojennych. Do 2000 r., jak pisze Eugeniusz Zawałeń[1], 340 z nich uległo całkowitemu zniszczeniu.

Z kolei Ryszard Brykowski[2] podaje nie mniej zatrważające liczby: w latach 1939–1989 z terenu dawnego województwa rzeszowskiego (wówczas w jego granicach znajdował się jeszcze powiat gorlicki, od 1999 r. w województwie małopolskim) zniknęły 253 cerkwie (201 drewniane i 52 murowane). Jego zdaniem większość tych strat przypada na okres po 1947 r. A w latach 1945–1947 zniszczono w czasie działań zbrojnych dziewięć budowli.

Na okres powojenny przypada 240 zniszczonych drewnianych i murowanych cerkwi; do 1956 r. 140 budowli, a po 1956 r. – 53. Brak danych dla 47 zniszczonych cerkwi. Pozostałe 253 obiekty służą kultowi, dalszych 10 to obiekty muzealne – obecnie w skansenach. 39 obiektów sakralnych jest nieużytkowanych. Ryszard Brykowski podaje, że z tych 253 obiektów zniszczonych, dwa powstały w XVI w., dziewięć w XVII, 40 – w XVIII, 141 – w XIX i 60 – w wieku XX. W przypadku jednego obiektu nie udało się mu określić czasu powstania.

Janusz Mazur, pracownik Muzeum Kresów w Lubaczowie[3], doliczył się w powiecie lubaczowskim, według stanu sprzed 1939 r. (dwa obiekty powstały w trakcie II wojny światowej) 54 cerkwi greckokatolickich, z których 36 wykonanych było z drewna. Do bilansu dodać można jeszcze 50 dzwonnic (33 drewniane). Do 1994 r. przetrwało 37 cerkwi (23 drewniane) oraz 24 dzwonnice (11 drewnianych). Do 2011 r. stan ten uległ jeszcze uszczupleniu m.in. o spalone cerkwie w Krowicy Samej i Opace. Z danych tych wynika jednoznacznie, że tylko w okolicach Lubaczowa straciliśmy ponad 30% cerkwi i ponad 50% dzwonnic cerkiewnych. A do tego należy dołączyć jeszcze obiekty drewniane utracone na fali rozwoju murowanej architektury sakralnej na przełomie XIX i XX wieku oraz w trakcie I wojny światowej.

Stanisław Kryciński[4] wylicza, że z około 650 cerkwi istniejących w 1945 r. na obszarze dawnej greckokatolickiej diecezji przemyskiej, a dokładnie z części tej diecezji leżącej w obecnych granicach Polski, pozostało zaledwie 300. W latach 1947–1956 przeprowadzono planowane akcje rozbiórek wsi opuszczonych przez autochtoniczna ludność

zb. Piotra Klaja

Krzeszów, synagoga żydowska, zbudowana w 1726 r., zniszczona w czasie I wojny światowej (1915 r.) podczas ostrzału przez artylerię austriacką

drewna

w ramach akcji „Wisła". Rozebrano wówczas na obszarze dawnego województwa rzeszowskiego ok. 300 cerkwi, zwykle niszcząc również ich wyposażenie. Po 1956 r. zniszczono jeszcze ok. 50 cerkwi. Ze świątyń na opisanym obszarze zniknęło ok. 7000 ikon, wiele sprzętów liturgicznych, starodruków i kronik oraz dokumentów parafialnych. Uchwała Rady Ministrów nr 666 z 1956 r. jednoznacznie określiła cel działania instytucji państwowych w stosunku do cerkiewnych obiektów sakralnych – należy je jak najszybciej rozebrać.

Zdaniem Pawła Kusala5 obecnie w Polsce znajduje się ok. 250 drewnianych cerkwi, a przed 1939 r. tylko na płd.-wsch. ziemiach II Rzeczypospolitej było ponad 2000 drewnianych cerkwi i kościołów. Dane te opublikował w 1912 r. we Lwowie dr Tadeusz Spiss w Wykazie drewnianych kościołów i cerkwi w Galicji. Paweł Kusal pisze także, że z terenów Beskidu Sądeckiego, Niskiego i Bieszczadów zniknęło bezpowrotnie 1750 budowli sakralnych, przypominając, że wskutek działań wojennych zniszczeniu uległo... dziewięć cerkwi.

Warto przy tym wspomnieć, że w okresie międzywojennym na 190 bieszczadzkich miejscowości przypadało ok. 160 cerkwi. Do dzisiaj przetrwało ich ok. 50, z czego ok. 10 użytkowanych jest przez wyznawców prawosławia lub grekokatolików, pozostałe przejęte zostały przez Kościół rzymskokatolicki.

Jeszcze większe straty, w ujęciu procentowym, ponieśliśmy od 1939 r. w zakresie architektury synagogalnej, nie mówiąc już o architekturze dworsko-pałacowej. Czy kiedykolwiek będziemy w stanie oszacować wojenne, a szczególnie powojenne straty na terenie naszego województwa?

zb. Muzeum Podkarpackie w Krośnie

Krościenko Wyżne, kościół rzymskokatolicki św. Marcina, zbudowany na pocz. XVII w. (1603 r. konsekracja), rozebrany w 1911 r.

Krzysztof Zieliński

Grabówka, kościół rzymskokatolicki Nawiedzenia NMP, zbudowany w latach 1624–1631 w Grabownicy, przeniesiony w 1921 r. do Grabówki, spłonął w nocy z 18/19.04.2007 r.

fot. W. Jaderny, zb. M. Szukała

Dawna wieś Rzochów, obecnie włączona w granice administracyjne miasta Mielca. Żydowski dom modlitwy zbudowany w XVIII w. (?). Bożnica została zniszczona przez Niemców w 1939 r. po wybuchu II wojny światowej

---

[1] Zawałeń E., *Ochrona architektury cerkiewnej na terenie Podkarpacia w latach 1980–2000,* [w:] *Na pograniczu kultur. Drewniana architektura sakralna w Polsce i na Ukrainie, Materiały z konferencji naukowej,* Przemyśl 2001, s. 45.

[2] Brykowski R., *W sprawie architektury cerkiewnej województwa rzeszowskiego po 33 latach,* [w:] *Losy cerkwi w Polsce po 1944 roku,* Rzeszów 1997, s. 151.

[3] Mazur J., *Straty w zakresie architektury cerkiewnej na terenie rejonu lubaczowskiego w latach 1939–1994,* [w:] *Losy cerkwi w Polsce...,* dz. cyt., s. 238.

[4] Kryciński S., *Cerkwie w Bieszczadach,* Pruszków 2005, s. 5.

[5] Kusal P., *Zapomniane cerkwie,* Krosno 2011, s. 7.

Koncerty na Szlaku

Szlak Architektury Drewnianej powstał dzięki współpracy województw śląskiego, małopolskiego, podkarpackiego oraz świętokrzyskiego. Część podkarpacka szlaku obejmuje 9 tras, które w sumie liczą ponad 1200 km. Na szlaku znalazły się grupy zabytków, w tym obiekty sakralne tj. kościoły, cerkwie, dzwonnice, plebanie, zespoły zabudowy małomiasteczkowej, dwory, architektura uzdrowiskowa oraz zgromadzone w skansenach budownictwo wiejskie, obiekty użyteczności publicznej oraz obiekty przemysłowe: młyny, tartaki, kuźnie, wiatraki.

Do najcenniejszych obiektów na szlaku zalicza się dwa kościoły o wyjątkowej wartości artystycznej i historycznej w Haczowie i Bliznem. W 2003 r. zostały one wpisane na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturalnego i Przyrodniczego Ludzkości UNESCO. Niezwykle cenne są również obiekty budownictwa drewnianego oraz zabytki ludowej kultury materialnej, zgromadzone m.in. w Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku, Muzeum Kultury Ludowej w Kolbuszowej oraz w Skansenie w Markowej.

Dzięki realizacji przez Podkarpacką Regionalną Organizację Turystyczną projektu „Promocja Szlaku Architektury Drewnianej", dofinansowanego przez Ministerstwo Sportu i Turystyki, zostanie zorganizowanych w tym roku szereg działań uatrakcyjniających zwiedzanie Szlaku. Przeprowadzony zostanie m.in. wakacyjny konkurs „Z dziennika turysty: wakacje na trasie drewnianej tradycji", w którym wezmą udział kroniki fotograficzne nadsyłane przez turystów, odwiedzających Szlak. Nagrody zostaną przyznane w dwóch kategoriach: *Najwytrwalszy odkrywca szlaku* dla osoby, która odwiedzi największą liczbę obiektów znajdujących się na Szlaku oraz w kategorii *Najciekawsza kronika podróżnicza.*

Ponadto odbędzie się cykl czterech koncertów muzyki dawnej pt. „Spotkania z muzyką i tradycją", które odbędą się w zabytkowych świątyniach. Ich uczestnicy będą mogli odczuć urok i magię epoki, z której pochodzi muzyka, wykonywana przez Zespół Vox Angeli.

Koncerty planowane są w następujących miejscach:

Krosno – kościół św. Wojciecha – 30.06., godz. 17.00

Średnia Wieś – kościół Wniebowzięcia NMP – 07.07., godz. 17.00

Smolnik nad Sanem – cerkiew św. Michała Archanioła – 14.07., godz.17.00

Iwonicz Zdrój – kościół śś. Iwona i Matki Boskiej Uzdrowienia Chorych – 15.07., godz. 15.30

Od góry: kościoły w Krośnie i w Średniej Wsi, dawna cerkiew w Smolniku n. Sanem, kościół w Iwoniczu Zdroju

fot. J. Tur, zb. WUOZ Del. Rzeszów

Raniżów (dawna niemiecka nazwa: Ranischau), zbór ewangelicki zbudowany w 1787 r. W 1902 r. dolne partie zrębu zastąpiono cegłą. Rozebrany ok. 1970 r.

* * *

W 2011 r. Stowarzyszenie Pro Carpathia, wydawca Skarbów Podkarpackich, realizując projekt „Skarby w drewnie ukryte" przygotowało dwutomową publikację Leksykon Drewnianej Architektury Sakralnej na Podkarpaciu. Jej zadaniem była ewidencja zachowanych drewnianych obiektów sakralnych na terenie województwa podkarpackiego, określenie stanu ich zachowania, a także zwrócenia uwagi na problemy, z jakimi borykają się ich właściciele oraz służby konserwatorskie. W tomie drugim zamieszczony został dodatkowo *Suplement* wyliczający budowle niezachowane z obszaru całego województwa. Zebrano w nim dane dotyczące 533 drewnianych kościołów, cerkwi, zborów, synagog i dzwonnic z obszaru Podkarpacia. Znaczną ich część udało się zilustrować archiwalnymi zdjęciami. Ramą czasową tych zniszczeń jest okres od końca lat 70. XIX w. po dzień dzisiejszy. Z tego zestawienia wynika jednoznacznie: w ciągu niecałych 140 lat utraciliśmy bezpowrotnie co najmniej 533 drewniane obiekty sakralne. A zachowanych do dziś pozostało ok. 241 (powstałych przed 1950 r.).

Z drewnianych kościołów rzymskokatolickich 97 zostało zastąpionych przez nowe, najczęściej murowane świątynie. Z tego 57 przed 1914 r., 20 w okresie międzywojennym i 20 po 1945 r. Cztery obiekty zostały zniszczone w czasie I wojny, a 11 w ciągu II wojny światowej.

Cerkwie greckokatolickie spotkał okrutny los i to najczęściej z polskiej – niestety – ręki. Z drewnianych świątyń 43 zostały zastąpione przez kolejne, murowane cerkwie, z tego 25 przed I wojną światową. 15 obiektów uległo zniszczeniu w czasie I wojny światowej, 18 w czasie bezpośrednich działań zbrojnych II wojny, ale aż 73 zostało rozebranych w latach 40., 81 w latach 50., 23 w latach 60.,

11 w latach 70. i 9 w latach 80. XX wieku. Doliczyć do tego należy jeszcze 10 dzwonnic cerkiewnych spalonych w czasie I wojny i 9 w czasie II wojny światowej oraz... 72 dzwonnice rozebrane na przestrzeni lat 1945–2004.

Do tej liczby zniszczeń należy jeszcze dodać 15 świątyń prawosławnych, które uległy destrukcji w czasie II wojny światowej lub też po jej zakończeniu. O całkowitym unicestwieniu drewnianej architektury synagogalnej (3 znane obiekty) i zborów protestanckich (4 znane obiekty) – przy tej skali zniszczeń – już wspominać nie będę.

* * *

fot. Kruk, zb. WUOZ Del. Rzeszów

Majdan Sieniawski, cerkiew greckokatolicka św. Michała Archanioła, wybudowana w 1860 lub 1863 r., spalona w 1989 lub 1990 r.

Powyższe zestawienie poraża skalą utraconych, cennych obiektów. A zrębowe kościoły i cerkwie na Podkarpaciu stanowią ważną część architektonicznej spuścizny Europy. Roztocze, Pogórze Przemyskie, Bieszczady, Beskid Niski są jeszcze – w skali całego kraju – enklawą drewnianego budownictwa sakralnego. Jednak z roku na rok jest ich coraz mniej. Trudno dziś stwierdzić, jaki los w przyszłości spotka nieużytkowane i opuszczone cerkwie. Straciliśmy już tak wiele z dziedzictwa kulturowego, że musimy robić wszystko, aby uchronić je od zniszczenia. We współczesnym świecie budowla, będąca elementem „świata kultury drewna", pokazuje nam zupełnie inny wymiar. Odwiedzając jej wnętrze czujemy nie tylko upływ czasu, ale możemy poczuć szacunek dla pokoleń artystów-rzemieślników, którzy pracą własnych rąk stworzyli tak piękne i unikalne budowle. Większość z nich oparta jest na rodzimych tradycjach, gdyż wykonywali je lokalni cieśle. Utrwalenie ich stanu i zachowanie dla kolejnych pokoleń musi być troską wszystkich ludzi, przy pomocy lokalnych władz samorządowych, organizacji pozarządowych, a przede wszystkim służb konserwatorskich.

Przez wieki te drewniane „cuda" wrastały w krajobraz kulturowy, stały się wręcz nieodłącznym elementem niejednej miejscowości. Mają swój niepowtarzalny nastrój, ciszę nasyconą zapachem drewna zmieszanego z dymem palących się świec. Z szacunku dla pokoleń, które stworzyły te dzieła, powinny one przetrwać dla następnych. Aby kolejne miały szansę poznać ich urok, wczuć się w uduchowioną atmosferę, zafascynować obrazem „wymodlonych" ścian i sklepień. Pamiętajmy więc, że zachowanych do dzisiaj zabytkowych drewnianych świątyń byłoby z pewnością więcej, gdyby nie różne nieszczęśliwe wydarzenia, w wyniku których znaczna liczba tych cennych obiektów wraz z wyposażeniem bezpowrotnie zniknęła z powierzchni ziemi, a ślad po nich zachowała co najwyżej pamięć ludzka, oraz nieliczne – przez co bezcenne – rysunki i fotografie. ■

Będzie drugie wydanie

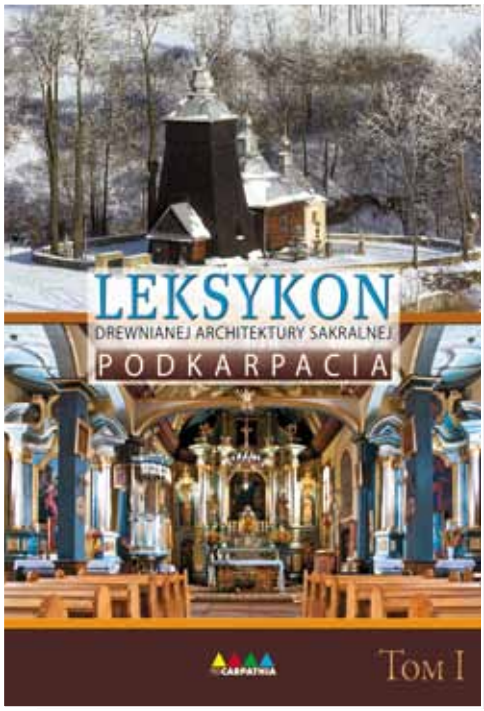

1000 sztuk nakładu *Leksykonu drewnianej architektury sakralnej Podkarpacia* rozeszło się w kilka miesięcy. Mimo że od zakończenia dystrybucji tego wydawnictwa minęło już ponad pół roku, nadal do Stowarzyszenia dzwonią i mailują osoby zainteresowane pozyskaniem tej publikacji. Z tego też powodu Zarząd Stowarzyszenia „Pro Carpathia" podjął decyzję o komercyjnym wydaniu *Leksykonu*. Ta dwutomowa publikacja (w sumie 400 stron) zawiera 245 dokładnych opisów istniejących obiektów sakralnych z terenu naszego województwa, zilustrowane ponad 1000 aktualnych i archiwalnych zdjęć. *Leksykon* gromadzi informacje i dane, do tej pory rozproszone w szeregu wydawnictw. Opisowi każdej ze świątyń towarzyszy krótkie streszczenie w języku angielskim oraz ukraińskim.

W tomie drugim znajduje się Suplement prezentujący krótki opis świątyń niezachowanych – 535 drewnianych obiektów: cerkwi, kościołów, zborów, synagog i dzwonnic, które uległy zniszczeniu w latach 1880–2009. Udało się odszukać także blisko 300 archiwalnych zdjęć, które prezentują bryłę tych budowli, z rzadka wnętrze z wyposażeniem. *Leksykon drewnianej architektury sakralnej Podkarpacia* to pierwsza publikacja opisująca wszystkie drewniane świątynie (zbudowane do ok. 1950 r.) zachowane na terenie województwa podkarpackiego. Dzięki znakomitym fotografiom możemy podziwiać bogactwo drewnianej architektury oraz piękno ich wnętrza.

Cena sprzedaży dwutomowej publikacji to 110 zł brutto plus koszty wysyłki. Osoby zainteresowane zakupem prosimy o kontakt mailowy krzysiek@procarpathia.pl, na który można przysłać zlecenie zamówienia lub telefoniczny: 17 852 85 26.

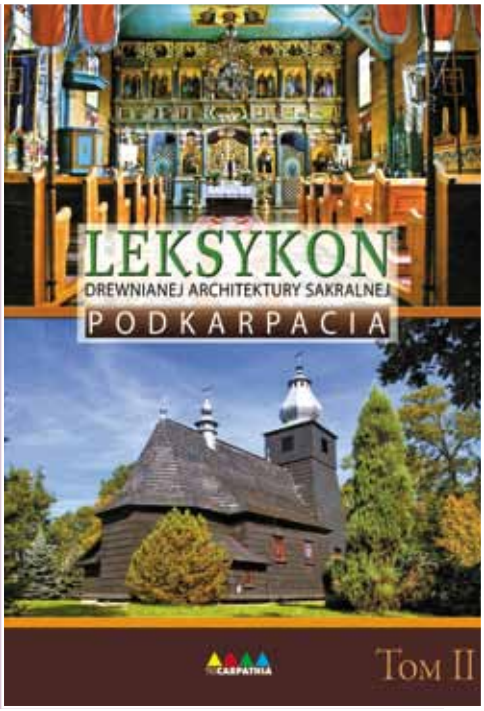

tekst Jolanta Danak-Gajda, fot. Krzysztof Zieliński

Grupy etniczne Karpat

Współczesne Karpaty stanowią wielobarwną mozaikę kulturowo-etniczną, obok siebie żyją tu Polacy, Słowacy, Łemkowie i Ukraińcy, a w mniejszych grupach również Romowie. Zasiedlanie Karpat przez Słowian nastąpiło w V i na początku VI w., a na przełomie XIII i XIV stulecia z południa łukiem Karpat zaczęły napływać pasterskie plemiona Wołochów. Pochodzący z Bałkanów nomadowie asymilowali kulturę napotkanych po drodze Rusinów i z czasem ulegali slawizacji. Wołosi przynieśli ze sobą rozwinięte pasterstwo i sposób organizacji wsi na tzw. prawie wołoskim, którego istotnym elementem była danina określonej liczby owiec, tzw. dań barania na rzecz pana. Tak w ciągu wieków ukształtowały się mieszkające w Karpatach grupy etnograficzne o cechach rusińskich – Bojków i Łemków, zwanych Rusnakami, Dolinianie – grupa o cechach mieszanych oraz grupa polska Pogórzanie. Sąsiadował obok siebie kościół rzymskokatolicki z prawosławnym, a po Unii Brzeskiej – kościół greckokatolicki.

Mapa rozmieszczenia grup etnicznych (do 1947 r.), oprac. MBL Sanok

Bojkowie zamieszkiwali tereny górskie od źródeł Solinki i Wysokiego Działu w Bieszczadach, aż do źródeł Łomnicy na terenie dzisiejszej Ukrainy. Na wschodzie sąsiadowali z Hucułami, na zachodzie z Łemkami – tu granicą była rzeka Osława. Posługiwali się dialektem języka ukraińskiego, byli wyznania greckokatolickiego. Po II wojnie światowej zostali wysiedleni głównie na tereny ZSRR, a na Bojkowszczyznę przybyła ludność polska. Dawne wsie bojkowskie to typowe łańcuchówki, ciągnące się kilometrami wzdłuż jednej drogi. Cechą charakterystyczną zabudowy wsi były zagrody jednobudynkowe, drewniane, zrębowe. Pod wspólnym dachem znajdowały się tam: część mieszkalna, stajnia i obora oraz boisko. Każde z pomieszczeń zajmowało całą szerokość budynku – taki typ konstrukcji zwany jest jednotraktowym. Część mieszkalna składała się zazwyczaj z jednej obszernej izby zwanej chyżą oraz sieni i komory umieszczonych w jednym końcu budynku, na jego drugim końcu znajdowały się stajnia i boisko. Zewnętrzne ściany budynku malowano paloną glinką, co nadawało im czerwono-brunatny kolor, natomiast miejsca styku belek – uszczelniane mchem i obłożone gliną – były bielone wapnem. Dachy na budynkach bojkowskich były czterospadowe, kryte słomą. Dopiero w latach 20. XX w. w chałupach pojawiły się piece z kominami.

Układ typowej wsi bojkowskiej, fot. Roman Reinfuss, zb. MBL Sanok

Bojkowie, tak jak ich sąsiedzi Łemkowie, trudnili się przede wszystkim rolnictwem, hodowlą i eksploatacją lasu. Uprawiano głównie owies, żyto, jęczmień i orkisz, a także ziemniaki, brukiew, rzepę, kapustę, len i konopie. Wysoko na połoninach dominował wypas owiec i wołów, które sprzedawano na targach w Lutowiskach czy Baligrodzie. Dochody Bojków uzupełniała praca przy ścince drewna oraz wypalaniu węgla drzewnego. Rozwinęły się rzemiosła, np. tylko w samej Serednicy bednarstwo, ciesiołka, kołodziejstwo i stolarstwo. Tartaki funkcjonowały m.in. w Lutowiskach, Smolniku, Zatwarnicy i Wołosatem.

Strój bojkowski należy do najstarszych odmian tzw. strojów białych, których podstawą było płótno oraz tkaniny wełniane własnego wyrobu. Wykonany z surowców uzyskanych we własnym gospodarstwie, jedynie nieliczne jego części, tj. pasy, buty, kapelusze, korale, kupowano na jarmarkach. W stroju bojkowskim dominowała więc biel oraz kolor brunatny z czerwonymi akcentami: pas w spódnicy, haft, wstążeczka pod szyją, korale. Mężczyźni latem nosili spodnie z płótna lnianego lub konopnego, a zimą z białego lub brunatnego sukna – tzw. *hołosznie.* Biała płócienna koszula, tzw. *soroczka*

była wypuszczona na spodnie i przepasywana paskiem. W świątecznym stroju używano szerokiego skórzanego pasa, podwójnie złożonego, zapinanego na spinki. Na koszulę zakładano *łajbyk* – kamizelkę z brązowego sukna. Zimą wierzchnią odzieżą męską były *kurtak* i *hunia* – szyte z brązowego sukna. Bojkowska *hunia* to długi obszerny płaszcz z prostokątnym kołnierzem i z długimi zaszytymi rękawami, które służyły jako rodzaj torby. Noszona była na plecach jak peleryna. Na co dzień ubierano chodaki z jednego kawałka skóry, od święta buty z cholewami. Na głowę latem wkładano słomiany kapelusz z szerokim rondem, zimą wysoką czarną czapkę barankową.

Kobieca koszula z białego płótna lnianego lub konopnego, miała długie rękawy, pod szyją wykończona była oszewką lub kołnierzykiem. Zdobił ją haft krzyżykowy w górnej części rękawa, niekiedy na kołnierzyku i mankietach. Na koszulę zakładano marszczoną w pasie spódnicę z lnianego samodziału, tzw. *fartuch.* Na spódnicę z kolei zakładano lnianą zapaskę, ozdobioną dołem haftem. W pasie przewiązywano się czerwoną krajką. Na wierzch wkładano dopasowany *łajbyk* z brunatnego sukna, który z czasem wyparły czarne, wełniane gorsety. W zimie kobiety nosiły brunatne sukniane *kurtaki* sięgające bioder i długi, dopasowany płaszcz z wełnianego brązowego sukna, zwany *sirak.* Ważnym uzupełnieniem stroju była płachta zakładana na ramiona, zastąpiona z czasem wełnianą chustą. Od święta wkładano buty z cholewami, a na co dzień *chodaky* – rodzaj kierpców. Kobiety zamężne zawijały włosy na *chomełkę,* tj. kółko z leszczynowego pręta, na wierzch wkładały czepek. Na czepek zakładano chustkę.

Kobiecy strój bojkowski

Dawna zabudowa z bojkowskiej wsi Skorodne w Bieszczadach, na pierwszym planie jednobudynkowa zagroda z 1861 r., na drugim dom z 1906 r.; obecnie w skansenie MBL w Sanoku

Łemkowie mieszkali po obu stronach Karpat, od Osławy i Laborca na wschodzie, po Poprad na zachodzie. Po stronie polskiej po II wojnie światowej tereny Łemkowszczyzny opustoszały w wyniku dwóch fal wysiedleń. Najpierw do ZSRR, a w 1947 r. w ramach akcji „Wisła" pozostałą ludność wysiedlono na ziemie północne i zachodnie Polski. Warto jednak wiedzieć, że te elementy kultury łemkowskiej, które po północnej stronie Karpat uległy zniszczeniu, znakomicie zachowały się po stronie słowackiej.

Na obszarze Łemkowszczyzny wschodniej występowały powszechnie zagrody jednobudynkowe, na zachodniej dwu– lub wielobudynkowe, drewniane, o konstrukcji zrębowej. *Chyża* wschodnio-łemkowska pod jednym dachem mieściła pomieszczenia mieszkalne i gospodarcze. Strych pełnił rolę stodoły. W części mieszkalnej były dwie izby, sień i komora. Chałupy kryte były słomianymi dachami dwuspadowymi z gontowymi szczytami. Wyposażenie izby łemkowskiej niewiele różniło się od bojkowskiej: gliniana polepa zamiast podłogi, piec kurny, podobne meble. Poważne zmiany w wyposażeniu wnętrz nastąpiły po I wojnie światowej, wraz z wprowadzeniem pieca z kominem. Z dawnej komory powstawała druga izba nazywana np. *wankir, chyżka* lub *świetlycia.* Izby zaczęto bielić i ozdabiać, wstawiano podłogi i nowe meble.

Podstawą tradycyjnej gospodarki na wsi łemkowskiej było rolnictwo, hodowla oraz eksploatacja lasu. Wiele wsi wyspecjalizowało się w określonych rzemiosłach: gont, przedmioty domowego użytku z drewna, a także wyroby bednarskie wyrabiano m.in. w Nowicy, Przysłupiu, czy Kunkowej. Sprzedawano je obu stronach Karpat. Bielanka i Łosie to wsie słynące z wyrobu mazi i dzieg-

Łemkowska chyża w Krempnej

Najstarsza zachowana fotografia Łemka z 1870 r.

zb. Szymona Modrzejewskiego

Dziewczęta z Balnicy

ciu ze smolnych pniaków. Obfitość dobrego do obróbki piaskowca sprzyjała rozwojowi kamieniarstwa (Bartne, Przegonina, Bodaki, Wapienne, Folusz), gdzie przygotowywano kamień budowlany, wyrabiano osełki do kos, kamienie do żaren i młyńskie. Niektórzy kamieniarze kuli przydrożne krzyże, kapliczki i nagrobki.

Strój męski u Łemków był podobny jak u Bojków, różnice tkwiły w szczegółach. Np. lniana koszula zawsze wpuszczona była do spodni. Kamizelki męskie zdobiono błyszczącymi metalowymi guzikami. Na to ubierano białą lub ciemną kurtkę do połowy ud. Symbolem zamożności Łemków była *czuha,* rodzaj szerokiego płaszcza z brązowego sukna, zarzucanego na ramion jak peleryna. *Czuhy* różniły się kształtem kołnierza lub detalami ozdób, dzięki temu łatwo było na jarmarkach czy odpustach rozpoznać, z którego zakątka regionu pochodzi jej właściciel. W siarczyste mrozy mężczyźni okrywali się kożuchami.

Strój kobiecy był bardziej zróżnicowany niż męski. Na środkowej Łemkowszczyźnie kobiety nosiły koszule z białymi, marszczonymi krezkami przy szyi i mankietach, zdobionymi koronką, aksamitne gorsety z delikatnym haftem na piersiach i plecach, wykonanym srebrną nitką i cekinami. W zimie oprócz watowanych kaftaników noszono brązowe sukienne *huńki* oraz kożuchy. Spódnice zwane *kabaty* szyto z gęsto plisowanego samodziałowego płótna, drukowanego ręcznie w białe lub biało-niebieskie wzory na granatowym tle. Takie same były zapaski, zdobione szerokim szlakiem roślinnym u dołu. Zapaski do stroju odświętnego szyto z cienkiego białego płótna fabrycznego lub tiulu z koronkowymi wstawkami i zdobiono białym haftem atłasowym o motywach roślinnych. Na Łemkowszczyźnie wschodniej charakterystycznym elementem stroju dziewczęcego były *krywulki,* rodzaj szerokiego kołnierzyka uplecionego z drobnych koralików z przyczepionym krzyżykiem lub medalikiem.

Dawna chałupa doliniańska z Nadolan (obecnie w skansenie w Sanoku)

Łucek

Dolinianami nazywano ludność mieszaną, polsko-ruską, zamieszkującą okolice Sanoka, Mrzygłodu oraz na północ i wschód od Leska. Grupa wykształciła się z potomków XIV- i XV-wiecznych osadników polskich i niemieckich oraz ludności ruskiej. Charakterystycznym elementem wsi doliniańskich były jednobudynkowe zagrody z wnękami. Wnękę uzyskiwano przez cofnięcie ściany frontowej na szerokość stajni. Podcień ten łączył część mieszkalną z gospodarczą bez potrzeby wychodzenia poza obręb domu. W niektórych wsiach na wrotach i drzwiach występowało bogate zdobnictwo. Dachy były czterospadowe, kryte słomą.

zb. MBL Sanok

Dziewczęta z okolic Leska, 1930 r., fot. Jan Krzywowiąza,

Część mieszkalną stanowiły dwie izby z piecem pośrodku, który ogrzewał obie izby i można było na nim spać. Spano też w mniejszej izbie zwanej *wankir, wankierz,* stała tu skrzynia, w której przechowywano odzież. Sień pełniła funkcję gospodarczą i komunikacyjną. W komorze znajdowała się beczka z kiszoną kapustą, drobny sprzęt domowy, na ścianie wisiały suszone zioła i ubrania.

Dolinianie zajmowali się uprawą roli. Dodatkowe dochody przynosiła m.in. produkcja wyrobów z drewna. Słynęły z tego Nadolany, gdzie wyrabiano przeróżne drewniane przedmioty codziennego użytku. W sąsiednich Nagórzanach rozwinięte było tkactwo, a w Nowotańcu obróbka kamienia. W Kuźminie jeszcze do dziś – choć już współczesnymi narzędziami – wyrabia się gont. Mieszkańcy obu Tyraw (Solnej i Wołoskiej) zajmowali się wytopem mazi i dziegciu ze smolnych pni sosny. W pobliskim Mrzygłodzie zajmowano się garncarstwem.

Dolinianie już pod koniec XIX w. w swoim ubiorze wykorzystywali tkaniny pochodzenia fabrycznego. Szyto z nich np. męskie kamizelki. Płócienne były koszule, jak i portki z szerokimi nogawkami,

noszone przez cały rok. Ważnym elementem stroju męskiego był pas, przeważnie 4–5 cm szerokości, zapinany na jedną lub dwie klamry, ale bywały też szerokie pasy, podobne jak u Łemków i Bojków, które posiadały schowek na pieniądze oraz kieszonkę na hubkę i krzesiwo. Na wierzch noszono płótniankę, zimowe okrycie stanowiła hunia, szyta z ciemnobrązowego sukna. Białe *hunie* mieli tylko zamożni gospodarze. Rodzajem sukiennego płaszcza była czuchania. Na przełomie XIX i XX w. pojawiły się bundy – płaszcze szyte z sukna fabrycznego. Na mrozy zakładano kożuchy. Kobiety szyły sobie koszule świąteczne już bawełniane. Na przełomie XIX i XX w. pojawiły się dopasowane gorsety, szyte z aksamitu. Do tego noszono kilka warstw płóciennych spódnic zwanych *fartuchami,* mocno wykrochmalone, by dawały efekt obszerności. Na chłody wkładano pluszowe kurtki, zwane *kacabajkami* lub *kabatami,* a na to *jupkę,* tj. płaszcz sukienny podbity baranim kożuchem. Na ramionach noszono płócienne narzuty nazywane *prześcieradłem, rąbkiem* lub *płachtą,* które na przełomie XIX i XX w. wyparły fabryczne chusty.

Pogórzanie zamieszkiwali Pogórze Karpackie, od rzeki Białej na zachodzie po środkowy San na wschodzie. Była to ludność polska, wśród której niewielki odsetek stanowili spolonizowani osadnicy ruscy i niemieccy. U Pogórzan wschodnich występowała przeważnie zagroda dwubudynkowa. Chałupy posiadały izbę i alkierz po jednej stronie sieni oraz stajnię i komorę po drugiej. Występowały też chałupy z podcieniem narożnym. Charakterystyczne są tu stodoły tzw. „wąskofrontowe" z wjazdem do boiska w ścianie szczytowej, ze stromym czterospadowym dachem. Na Pogórzu zachodnim dominowała zagroda wielobudynkowa, składająca się z chałupy, stodoły i stajni.

Pogórzanie zajmowali się głównie rolnictwem, w okresie międzywojennym upowszechniła się tam uprawa rzepaku. Tradycyjnie siano też len i konopie, wykorzystywane przez wiejskich tkaczy. Ważnymi ośrodkami tkackimi były: Korczyna, Dębowiec, Gorlice i Biecz. Bobowa wyspecjalizowała się jeszcze w wyrobie koronek klockowych, które były przedmiotem handlu przed I wojną światową. Garncarstwem zajmowali się mieszkańcy Rzepiennika Biskupiego i Kołaczyc. W Golcowej i Zawadce wyrabiano koszyki wiklinowe, leszczynowe i z korzeni. Obróbka drewna była rozpowszechniona w Żurowej, a kamieniarstwo w Lutczy, Czarnorzekach i Woli Jasienickiej. Olej z siemienia lnianego i nasion konopi tłoczono m.in. w Brzozowie, Baryczy, Jasienicy Rosielnej i Nozdrzcu.

Podstawę stroju Pogórzan stanowiło białe samodziałowe płótno. Mężczyźni nosili płócienne koszule, wypuszczane na wierzch spodni i przepasane pasem. Pas był szeroki – trzos, wykonany z brązowej podwójnej skóry zapinany na trzy lub cztery spinki. Spodnie – *portki* również wykonane były z bielonego zgrzebnego płótna lnianego lub konopnego. W zimie nakładano nawet trzy pary *portek,* jedne na drugie. Kamizelki były szyte z niebieskiego sukna, sięgały poniżej pasa, zapinały się pod szyję. Nowszym elementem ubioru były *spencery,* różniące się od kamizelek tym, że były nieco dłuższe i posiadały rękawy. Powszechnie noszonym ubiorem wierzchnim była tzw. *płótnianka* – biały płaszcz z samodziałowego płótna lnianego. Ubiorem noszonym przez zamożniejszych gospodarzy była biała *cuwa* z sukna samodziałowego, z dużym prostokątnym kołnierzem. Noszono ją narzuconą na ramiona. Zimowe odzienie stanowił kożuch. Powszechnym nakryciem głowy był w lecie kapelusz słomiany, a odświętnym i obrzędowym nakryciem głowy – czarny filcowy kapelusz. Noszono także włóczkową czapkę z białej wełny zwaną *magierką.*

Kobiety na płócienną białą koszulę zakładały tzw. *kaftanik* – obcisłą wciętą w pasie bluzkę z rękawami – sięgającą nieco poniżej bioder. Do stroju odświętnego ubierano gorsety z aksamitu. Najstarsze spódnice, tzw. *fartuchy,* szyto z lnianego płótna, były marszczone w pasie, ozdobione dołem bogatym haftem białym. Popularne były także spódnice z farbowanego płótna lnianego i *wybijanki* z cienkiego płótna fabrycznego, drukowanego w różne wzory. W zimie kobiety ubierały tzw. *burki* – spódnice pełniące rolę halki, o osnowie lnianej lub konopnej o wątku wełnianym. Na to nakładano właściwe spódnice z materiału fabrycznego. Na ramiona i plecy kobiety narzucały lniane *płachty* lub *rańtuchy,* później fabryczne chusty. Watowanymi kaftanami z sukna okrywano się, gdy przychodziły chłody. Zimowym odzieniem był płaszcz wcięty w pasie z sukna niebieskiego lub granatowego, tzw. *melizonka.*

Dawna zabudowa Ustrobnej, chałupa pogórzańska przeniesiona do skansenu w Sanoku

Pogórzanie, Doły Jasielsko-Sanockie

Cerkiew łemkowska ze wsi Nova Polianka w skansenie w Švidniku

Tereny po słowackiej stronie Karpat wchodzą w skład dwóch historycznych regionów: to Górny Szarisz na zachodzie i Górny Zemplin na wschodzie. Górny Szarisz (Šariš) jest położony w dorzeczu rzek Torysa, Topľa i Ondava, przepływają przez niego także rzeki Poprad i Hornád. Słowianie przybyli tu we wczesnym średniowieczu i podobnie jak po północnej stronie Karpat, osiedlili się w dolinach rzek. W XII i XIII w. dołączyli do nich koloniści z Węgier i Niemiec, ale na osadnictwo północnego Szariszu największy wpływ miała kolonizacja terenu na prawie wołoskim przeprowadzona w XV i XVI w. Tak, jak i po północnej stronie Karpat dominowało tu rolnictwo oraz hodowla bydła i owiec. Duża część ludności żyła z gospodarki leśnej, m.in. z wypalania węgla drzewnego. Niektóre miejscowości specjalizowały się w wyrobie różnych przedmiotów z drewna. Np. z kołodziejstwa i wyrobów wozów słynął Bardejów, Brezovice, Brezoviczki i Fricoviec, a z wyrobów gontów znane były Niżny Slavkov, Poloma, Uzovsky Szalgov, Olejnikov czy Sedlice. Pogórze Szariszskie zbudowane jest ze skał wapiennych, dlatego miejscowa ludność wykorzystywała to bogactwo, powstały liczne małe wapienniki, m.in. w takich miejscowościach jak Sedlice, Sindlar, Sucha Dolina, Klenov, Kysak, Lemeszany, Lipowce, Sedlice. Z garncarstwa i wyrobu kafli słynęły Preszów, Wielki Szarisz, Sabinów i Bardejów.

Karpatorusini z okolic Preszowa w tradycyjnych strojach ludowych

Przetwórstwem lnu, konopii i wełny oraz tkactwem na większą skalę zajmowały się całe wsie. Od XVI w. z tkactwa słynęła Solna Bania k. Preszowa. Najpiękniejsze szariszskie tkaniny były tkane w podwójne wzory, przetykane kolorowymi nićmi. Z wyrobu ozdobnych tkanin i dywanów słynęły Mały Szarisz, Chminany i Tichy Potok. Hodowla owiec dostarczała wełny, z której wyrabiano sukno. Z owczej skóry kuśnierze szyli kożuchy i serdaki, czyli futrzane bezrękawniki. Ponadto męskie odzienie, podobnie jak w całej góralszczyźnie karpackiej, składało się z białej lnianej koszuli i białych spodni – płóciennych latem, a zimą sukiennych z aplikacjami z przodu. Kamizelka szyta była przeważnie z czarnego sukna, z przodu ozdobiona czerwoną pasmanterią i błyszczącymi metalowymi guzkami. Na to narzucali sukienną pelerynę, czyli czuhę lub hunię. Od święta Szariszanie nosili czarne kapelusze z filcu i czarne wysokie skórzane buty, zastępowane latem skórzanymi chodakami.

Kobiecy strój był bardziej zróżnicowany i zależny od stanu osoby, czyli czy nosiła go panna lub mężatką, a także funkcji i pozycji ekonomicznej. Ten najbardziej rozpowszechniony ukształtował się na przełomie XIX i XX w. w centralnej części Szarisza, noszony aż w 70 wioskach od Preszowa w kierunku północno-wschodnim. Charakterystycznym elementem była granatowa plisowana spódnica, obszyta na dole czerwoną taśmą, na niej znajdowała się obszerna, również granatowa zapaska ozdobiona w dolnej części wzorkiem z wyszywanymi kolorowymi kwiatami i cienką pasmanterią. Biała kobieca koszula posiadała bufiaste krótkie lub 3/4 rękawy, a na niej noszony był haftowany lub obszywany pasmanterią czarny wełniany lub aksamitny gorset. Starsze kobiety nosiły zamiast gorsetu podobnie zdobione kaftaniki. Całość uzupełniała chusta zarzucona na plecy i buty z cholewkami.

Domy na Górnym Szariszu, tak jak w całych Karpatach budowane były z jodłowych bali, o konstrukcji zrębowej, jednotraktowe, składające się z izby, sieni i komory. Tradycyjna kultura ludowa Szarisza w niezmienionej postaci przetrwała do lat 50. XX w. Obecnie region Szarisz znajduje się w województwie preszowskim (Prešovský kraj). Dominuje tu wyznanie katolickie i greckokatolickie. Wspaniałe krajobrazy, zabytki kultury, specyficzny folklor z elementami kultury rusińskiej – podnoszą atrakcyjność turystyczną tego obszaru.

Górny Zemplin – to specyficzny region przygraniczny, od zamierzchłych czasów miejsce krzyżowania się różnych kultur. Graniczy z Polską, Ukrainą, Węgrami, a od zachodu z regionami Szarisz i Abów. Osadnictwo Zemplina kształtowało się tak jak i pozostałych regionów karpackich – Słowianie przyszli tu w V w., w XIII w. pojawili się osadnicy z Niemiec, a od XIV z południa zaczęli napływać Wołosi. Dużą rolę w tym regionie odgrywał gród Zemplín (dawna nazwa „Zemmen" – gród ziemny), gdzie odkryto liczne znaleziska archologiczne. Na fundamentach grodu wybudowano później zamek. W X w. Zemplin został włączony do państwa węgierskiego. Dziś Górny Zemplin (Horný Zemplín), leży w granicach województwa preszowskiego. Najważniejszymi ośrodkami administracyjnymi są Michalovce, Vranov nad Topľou, Snina i Humenné. W Górnym Zemplinie zachowało się typowe narzecze zemplińskie, bogaty folklor i znakomita kuchnia regionalna. Do szczególnie cennych zabytków należą drewniane cerkwie greckokatolickie i prawosławne. ■

tekst Bartłomiej Grzegorz Sala, fot. Krzysztof Zieliński

Na Łemkowyni, czyli wesele u Łemków

I wyruszyli! Potężna fala wołoskich (rumuńskich) i bałkańskich pasterzy ruszyła wraz ze swoimi stadami w niezwykłą odyseję wzdłuż łuku Karpat. Na zachód, by wydzierać karpackiej puszczy nowe siedziby pośród górskich pustkowi. I jak rzeka przyjmuje liczne dopływy, tak fala ta napotkała na swej drodze inne fale osadnicze, które z nizin wędrowały dolinami rzek w głąb gór, aby tam, wśród majestatycznych wierchów poszukać swojego „miejsca pod słońcem". W cieniu sięgających chmur wierzchołków Karpat Wschodnich fala Wołochów zderza się z wędrującą z nizin falą Rusinów. Zderza i miesza jak dwie rzeki łączące się w jeden olbrzymi ciek. I płynie dalej ku zachodowi, zachowując rumuńsko-bałkańskie tradycje gospodarcze i kulturowe, zwroty gwarowe i nawyki, wzbogacone elementami wschodniosłowiańskimi, przemieszane z ruskim językiem i wiarą ze „świętej Rusi", zlewającą się z południowym zabobonem. Lecz oto na zachodzie w głąb niedostępnych gór rusza kolejna fala, mieszająca się z wołosko-ruską. Zrazu jako małe potoki, a dalej jako kolejna wielka rzeka podąża dolinami ku halom ludność polska, a obok niej mniejsze strumyki Słowaków, Niemców, Węgrów i Bóg wie kogo jeszcze.

NASA/WikiCom

Łuk Karpat na zdjęciu satelitarnym

Tak właśnie powstają wołosko-rusko-polskie karpackie „Dzikie Pola" (z pomniejszymi elementami etnicznymi), z których narodzi się cała Góralszczyzna. Im bardziej na zachód, tym bardziej wytracają się tradycje wschodniosłowiańskie, tym bardziej postępuje polonizacja, a lokalnie slowakizacja Wołochów, tym bardziej język ruski zastępuje polszczyzna, a chrześcijaństwo wschodnie – rzymski katolicyzm, wciąż silnie zmieszany z rumuńsko-bałkańskim przesądem i magią.

I jak po przejściu wielkiej fali tworzą się nowe zbiorniki wodne i starorzecza, tak wielka fala wołoska pozostawiła po sobie rozmaite szczepy góralskie. Wszystkie je połączyło znakomite dostosowanie do surowych, górskich warunków, pasterskie tradycje (lokalnie jednak dość zróżnicowane), poczucie dumy (zwłaszcza wobec mieszkańców nizin) oraz stare rumuńskie zwroty w polskich i ruskich gwarach. Na zachodzie, pomiędzy Beskidem Śląskim a Popradem, gdzie na halach i polanach rozbrzmiewała polska mowa, a świat pasterskiej magii uzupełniał się z żarliwą katolicką (lokalnie tylko inną) pobożnością, pojawili się „nasi" górale. A więc Wałasi, Górale Śląscy, Górale Żywieccy, zamieszkujący południowe stoki Karpat (teren dzisiejszej Słowacji) Górale Czadeccy (Gorale), Babiogórcy (Górale Babiogórscy), Zagórzanie, Górale Kamieniccy (Biali Górale), Górale Orawscy (Orawianie), Górale Podhalańscy (Podhalanie), Górale Spiscy (Spiszacy), Górale Pienińscy (Górale Szczawniccy) i Górale Sądeccy (Czarni Górale), biorąc w posiadanie zachodnie Beskidy, Gorce, tatrzańskie hale, Podtatrze i Pieniny. Na północnych rubieżach Góralszczyzny, niczym wysunięta flanka, pojawiają się Kliszczacy (Górale Myśleniccy) – pozostałość po czysto polskiej fali z nizin, która mimo braku we krwi tak charakterystycznej wołoskiej domieszki, uległa swoistej wtórnej „góralizacji".

Na południu z Podhalanami „darli koty" – a może lepiej „darli Tatry"? – Górale Liptowscy (Liptacy), będący pozostałością po mieszance Wołochów ze Słowakami (a może jeszcze i Polakami?), a równie pewnym świadectwem istnienia słowackiego „dopływu" do wołoskiej fali (również zresztą nie bez udziału Polaków, tym bardziej, że można tu mówić raczej o wtórnym „zesłowaczeniu") pozostają Górale Kisuccy.

W Karpatach Wschodnich – od Bukowiny niemal aż po Osławę – dominował element wschodniosłowiański, a wołoska fala pozostawiła po sobie górali ruskich, mniej lub bardziej ukraińskich – Bojków, Tucholców i Hucułów, przy czym najbliżsi rumuńsko-bałkańskiej ojczyźnie koczowników Huculi zachowali

Internet

Rysunek szałasu wołoskiego

Wołoskie wesele (widokówka)

ich najwięcej cech, podczas gdy u Bojków roztopiły się one już bardzo silnie w rusińskim morzu.

Pomiędzy Popradem a Osławą, pomiędzy Góralami Pienińskimi i Sądeckimi a Bojkami, rozciągnęła się natomiast wielka etniczna rubież. Rubież wyjątkowo szeroka, obejmująca bowiem wschodnie skrawki Pienin, połowę Beskidu Sądeckiego i cały – niezwykle rozległy – Beskid Niski, wraz z analogicznymi krainami na południowych skłonach Karpat. Wciąż najbardziej dominujący był tu żywioł ruski, wschodniosłowiański, ale polskie „dopływy" odcisnęły na nim swoje piętno na tyle, że trudno tu już mówić o góralach ukraińskich, a można raczej o odrębnym narodzie. O odrębnym narodzie wschodniosłowiańskim (ze znaczącymi elementami zachodniosłowiańskimi), o Rusnakach, czyli Karpatorusinach. Ich poczucie wyższości wobec ukraińskich Bojków jest zresztą symptomatyczne. Co prawda i polscy górale uważali się za lepszych od Lachów z nizin, ale przecież tu mamy do czynienia z dwoma szczepami góralskimi, a nie ludnością gór i dolanami. Najlepszym symbolem odrębności Rusnaków oraz przenikania się wśród nich wpływów wschodnio- i zachodniosłowiańskich (z przewagą naturalnie tych pierwszych) było oddawanie się przez nich barwnym obrzędom wschodniego chrześcijaństwa rodem ze „świętej Rusi" w ścianach cerkwi nawiązujących często bryłami do katolickich kościołów.

Dawna cerkiew św. Michała Archanioła w Świątkowej Małej

Góralski naród, który wykrystalizował się pomiędzy siedzibami Górali Pienińskich i Sądeckich a osadami Bojków dzielił się na cztery grupy etnograficzne. Południowe stoki Karpat zaludnili Rusini Spiscy, nie pozbawieni wpływów słowackich. Niewielką enklawę u źródeł Grajcarka, pomiędzy Małymi Pieninami a Beskidem Sądeckim, zamieszkiwali w czterech zaledwie wioskach Rusini Szlachtowscy. Ale prawdziwi rekordziści w kwestii małej liczebności rozsiedli się w głębi Beskidu Sądeckiego, w Leluchowie i Dubnem (słownie: dwie wioski!) i znani są pod nazwą Wenhrinów, tudzież Wengrinów *vel* Uhryńców, co oznacza, że na tej niezwykłej etnicznej rubieży i Węgrzy (a może raczej węgierscy Rusini) wtrącili swoje „trzy grosze" w ostateczny kształt nadpopradzkich Rusnaków.

I wreszcie najliczniejsi i najbardziej znani Łemkowie, królujący nad wschodnią częścią Beskidu Sądeckiego i w całym Beskidzie Niskim. To oni przez wieki nadawali smak całej krainie rozłożonej u stóp Jaworzyny Krynickiej, Lackowej, Magury Małastowskiej i Magury Wątkowskiej, to oni ozdobione cerkwiami i chyżami wioski oraz wypasowe polany wypełniali całą gamą barwnych rytuałów i pieśni, nadawali im pełne magii znaczenia.

W 2007 r. w zacnym, a mnie wielce miłym kwartalniku „Piosenka" ukazał się mój artykuł poświęcony Zamieszańcom – małemu zamieszanemu narodowi, na wpół polskiemu, a na wpół ruskiemu, zwanemu przez Polaków Rusinami, a przez ludność ruską Mazurami (*notabene* w tym samym roku ukazała się etnograficzna monografia Henryka Olszańskiego poświęcona fenomenowi *zamiszanego naridu*, z której pisząc swój tekst skorzystać jeszcze nie mogłem, warto ją natomiast polecić tym, których temat zainteresował). W swoim tekście przedstawiłem wycinek zamieszańskiej obrzędowości, głównie weselnej, na tle elementów kultury łemkowskich górali. Ale przecież kto – poza etnografami – pamięta dziś jak wyglądało tradycyjne wesele u Łemków? Kto jeszcze pamięta prastare obrzędy i pieśni królujące w czasie weselnej radości na dawnej Łemkowyni? A warto, naprawdę warto choć na chwilę przenieść się w świat starych rytuałów i muzyki rodem z dawnej beskidzkiej krainy *de Łemko żywe*.

Cała weselna obrzędowość zaczynała się tu naturalnie od oświadczyn, w czasie których młody (?) amant nawiedzał chyżę rodziców wybranki z wódką w dłoni, a pytany o cel wizyty odpowiadał, że przyszedł to i owo kupić. Jeśli po postawieniu trunku na stole gospodarze przynosili *porcyę na pałenkę*, a następnie intonowali *Cariu nebesnyj* i *Otcze nasz* – zainteresowany i jego towarzysze mogli śmiało pomyśleć: „dobra nasza!". W przypadku odmowy żadnego kieliszka na *pałenkę* ani modlitwy doczekać się nie można było.

Ponieważ oświadczynom nie towarzyszą w zasadzie żadne pieśni, trzeba było to sobie „odbić" w wigilię wesela:

U naszoho susidońka,
Zaczynat sia hostynońka,
Poprośmo Boha szczyri,
Żeby Boh daw szczasływi.
Na podu zila, a w chyży wesila,
Zyjdy Hospody z neba,
Bo nam Tia zawsze treba.

Da sia pszczołonki rojat, tam sia swatowe strojat,
Pszczołońki do ułyjkiw, swatowe do stołykiw.

Spośród łemkowskich pieśni weselnych najciekawsza jest chyba ta, której swoje wersje posiadali też Zamieszańcy i miejscowi Polacy:

Hrajte husełki risko,
Kłaniaj sia Kseniu nisko,
Jak otciu, tak mamońci,
Tak wszystkoj rodynońci.

Oddajmy zresztą głos i zamiszanemu naridowi:

Hrajte husełki rizko,
Kłaniajsia Maruś nisko,
O kłaniaj, kłaniaj
Stopahy padaj
Hidnyj Tatusio toho
Pokłonajhu twojoho.

A na koniec podkrośnieńskim Polakom:

Grejcie weselej grejcie, [bis]
Hanusi żali dejcie. [bis]
Grejcie weselej rześko, [bis]
Kłaniaj się Hanuś nisko, [bis]
Kłaniaj się bo masz komu, [bis]
Ojcu, matce, swojemu [bis].

Sakramentalne „tak" padało naturalnie w ścianach cerkwi, często nawiązujących tu – jak wspomniano – do architektury polskich kościółków, choć oczywiście nie zawsze. Najpiękniejsze drewniane świątynie Łemkowszczyzny wyrosły w Szczawniku, Powroźniku, Wojkowej, Tyliczu, Muszynce, Owczarach, Kwiatoniu, Skwirtnem, Gładyszowie (reprezentowany jest tutaj wyjątkowo... typ huculski), Świątkowej Małej i Kotaniu, Polany zaś ozdobiono murowaną cerkwią o wspaniałych kopułach.

Dawna cerkiew łemkowska
śś. Kosmy i Damiana w Kotaniu

Warto też dodać, że z charakterystycznym dla karpackich Rusinów i Ukraińców grekokatolicyzmem na Łemkowszczyźnie skutecznie rywalizowało prawosławie, z błogosławieństwem św. Maksyma Sandowycza. Marsz orszaku weselnego do świątyni oznajmiała tymczasem stara, wesoła pieśń:

Idemo czerez seło,
Trymajte sia weseło,
Napered sia ne wyrywajte,
Zo zadu ne zostawajte, kompanii sia trymajte.

O dopełnieniu ceremonii zielone wierchy Beskidu Niskiego i Sądeckiego także informowane były przez muzykantów:

Już my teper wyhrały.
Bośmy ślubyk dostały;
Nasz Jehomość duchownyj,
Dały nam ślub zupownyj.

Dały nam ho borzeńko,
Bo nam w nohy zymneńko.
Prysichała Ksenia try razy,
Pered światy obrazy.

Pered światow Preczystow,
Tohdy stała newistow.
A już tobi Kseniu na połe ne chodyty,
Na kozy ne swystaty, z inszymy ne postaty,

Łem Petra słuchaty.
Dajte do kuchni znaty,
Naj nam dadut weczeriaty
Bo budem sia wyberaty.

Nasza Ksenia nasza,
Pojimała soj ptasia,
Bez krył, bez periczka
Petra czołowiczka.

Ale jest też pieśń, którą zaintonować musi sama panna młoda, w której nikt jej nie może wyręczyć:

Stroje łemkowskie na widokówce z międzywojennego dwudziestolecia

Już idziesz zdradcze, mołodyj chłopcze ku mojej mołodostwy;
Zawiażesz mi świt, mołodost, aż do mojej starosty.

Panna młoda musi już zabrać z chyży rodziców do nowego domu *szubońku, spidnyczku, zapasoczku* i pożegnać się. Gospodarskie sprzęty do nowej siedziby gorliwie wynoszą swaci. Aby wprowadzić młodych w małżeńskie obowiązki, prowadziło się ich na strych, do przygotowanego już legowiska. Schodzących witał śpiew drużek, a następnie przechodziło się do oczepin, w czasie których świeżo upieczona gospodyni siedziała na kolanach małżonka.

Zyjd soneńko z za hory,
Zaświty do obory,
Nechaj Petro wydyt,
Szczo mu na kolinach sidyt.
Czy buk, czy jałycia
Czy zawertyhołowycia.
Już świczeczka dohoriła,
Już Ksenia dodiwczyła.

Później następował inny ciekawy obrzęd. Orszak weselny ruszał nad rzekę, w której obmywali się młodzi. Jest to jednocześnie obmycie się po „strychowych igraszkach" i przyzwolenie, aby chrzcielna symbolika wyznaczyła początek nowego, małżeńskiego życia.

Oświaty Boże wodu, oświaty jordanyciu,
Omyty mołodyciu.
De sia Ksenia myła,
Tam Diwa Preczysta była.

I tak łemkowska pieśń płynęła z nurtem Popradu, Ropy, Wisłoki czy Osławy, niosąc ku nizinom weselną radość. Inna sprawa, że wieczornej kąpieli w zimnym górskim potoku nie ma co zazdrościć...

Wodą z rzeki *mołodycia* skrapia następnie zakamarki swojej nowej *chyży* i obejścia:

Nese Ksenia wodu,
Na dobru połahodu.
Idy Ksenia do stajnyci,
Pokropyty korowyci.
De kropla wody spade,
Tam para wołiw stane.
Na dobrą wróżbę...

Dzięki swojej liczebności Łemkowie lepiej przetrwali wysiedlenia od Rusinów Szlachtowskich, Wenhrinów i ukraińskich Bojków oraz niegóralskich Zamieszańców. Wysiedlenia tak przecież niezasłużone, wobec braku poparcia z ich strony dla poczynań Ukraińskiej Powstańczej Armii. Przetrwali i wkrótce zaczęli powracać na rodzinną ziemię. Tyle, że pewna ich część uległa już w międzyczasie polonizacji, wielu uznało się za Ukraińców (wszak cierpieli za „ukraińskość"!), jeszcze inni rozpłynęli się w ogólnej bylejakości, tak typowej dla Polski Ludowej i Trzeciej Rzeczypospolitej. Ale całkiem sporo z nich zachowało swoje korzenie. Przecież płonąca w Zdyni *watra* (zdominowana zresztą liczebnie przez Łemków-„Ukraińców") rokrocznie wysyła ku zalesionym grzbietom Beskidu płomienną jak ona sama deklarację: Jesteśmy tu!... Trwamy... ■

Wszystkie teksty pieśni za: W. Sarna, *Opis powiatu krośnieńskiego pod względem geograficzno-historycznym*, Przemyśl 1898. W tej monumentalnej monografii dawnej Krośnieńszczyzny Czytelnik odnajdzie też wiele innych informacji o Łemkach, a także Zamieszańcach i okolicznej ludności polskiej z przełomu XIX i XX w.

tekst Bartłomiej Grzegorz Sala

Z muzyką

Karpaty kojarzą się bardzo różnie i wobec ich niezwykłego bogactwa trudno się temu doprawdy dziwić. Na ogół kojarzą się jednak dość pogodnie i wesoło. Pogodnie niczym atmosfera drewnianych kościółków w Lachowicach, Orawce, Trybszu, Dębnie czy Sękowej, wesoło jak stare karczmy w Jeleśni lub Suchej Beskidzkiej. Kojarzą się z wycieczką po gorczańskich i beskidzkich ścieżkach, mniej lub bardziej mozolną marszrutą na Babią Górę i Pilsko, wędrowaniem po szczytach Tatr lub tylko spacerkiem przez doliny. Z „wywczasami" u ustrońskich, rabczańskich, szczawnickich czy piwniczańskich wód, z żeglowaniem po zbiornikach Kaskady Soły i Jeziorze Rożnowskim, z plażowaniem na myślenickim Zarabiu, ze spływem Dunajcem lub Popradem, z „białym szaleństwem" na stokach Wisły, Szczyrku, Korbielowa, Zawoi, Białki Tatrzańskiej, Zakopanego czy Kosarzysk. Z niepowtarzalną atmosferą Lanckorony i Starego Sącza, z niezwykłym krajobrazowym założeniem Kalwarii Zebrzydowskiej, zabytkami Żywca i Nowego Sącza, zachwycającymi pięknem starego drewna i wprawą góralskich cieśli chatami Chochołowa... Z imponującym „małym Wawelem" w Suchej, ze starymi zamczyskami w Lanckoronie, Dobczycach, Niedzicy, Czorsztynie i Rytrze, z imprezami i kramami na Krupówkach, z pięknymi regionalnymi pamiątkami i ze zwykłym badziewiem. Z bogactwem góralskiej tradycji, z kwaśnicą, żentycą, oscypkiem i łącką śliwowicą, z legendami o Ondraszku, Janosiku i świętej Kindze, z gęślami, wesołą muzyką i żywiołowym tańcem, a poza siedzibami górali – z niemniej barwnymi Lachami Sądeckimi, żywieckimi mieszczanami i Krakowiakami.

www.kapeladrewutnia.pl (2)

Anna Różycka z Kapeli Drewutnia

Ale są też inne Karpaty. Usłane pamiątkami po krwawej operacji dukielskiej, usłane cmentarzami z I wojny światowej, zranione boleśnie dramatem wysiedleń... Nie, nie smutne, albowiem smutek już dawno przeminął, a rany się zasklepiły, ale wciąż zadumane i melancholijne. Karpaty pamiętające różne szczepy Rusnaków-Karpatorusinów i Zamieszańców oraz ukraińskich górali z Bojkowszczyzny. I chyba tylko intrygujące „smaczki" Żegiestowa, Złockiego, i Wysowej Zdroju, malownicze zaułki Muszyny i Dukli, gwarne ścieżki i promenady Krynicy, zielone skwery Iwonicza Zdroju i Rymanowa Zdroju oraz wypoczynkowo-żeglarskie klimaty Soliny i Polańczyka tworzą wesołe i beztroskie wyspy na zielonym morzu zadumy i refleksji, gdzie wsłuchać się można jeszcze w echa dawnego, radosnego życia i historie bez szczęśliwego zakończenia... Pieśni, które ongiś towarzyszyły pracy, spokojnemu życiu, zabawie i małym radościom beskidzkich i bieszczadzkich górali, stały się po 1947 r. pieśniami tęsknoty i zadumy. A przecież kiedyś, gdy ta część Karpat zachwycała jeszcze różnorodnością tradycji, niosły one zasłuchanym górom radość i wesele...

Najbardziej na zachód rozciągał się świat Rusinów Szlachtowskich. Niech nie zmylą nas jednak górnolotnie brzmiące nazwy – cała „Ruś Szlachtowska" obejmowała cztery (!) wioski, wciśnięte pomiędzy skalistą krainę Pienin a wierchy Beskidu Sądeckiego. Barwność tutejszych Rusnaków sprawiła jednak, że odcisnęli oni niezwykłe piętno na obliczu karpackiej ziemi. Świadczy o tym zarówno poważnie brzmiąca nazwa Rusi Szlachtowskiej, jak i imię, jakim Górale Pienińscy obdarzyli szemrzący Grajcarek – Ruska Rzeka. O nazwach terenowych wsi, polan, szczytów i wąwozów (żeby wspomnieć tylko o Prehybie i Homolach), które pozostały po dawnych gospodarzach pieniński-beskidzkiego pogranicza, można mówić długo i namiętnie, ale to już na szczęście wspólna cecha wszystkich ziem porusińskich, dzięki której przynajmniej ta część owego wielkiego kulturowego dziedzictwa zdołała ocaleć. Rusini Szlachtowscy, wciśnięci pomiędzy polskie szczepy góralskie (Górali Pienińskich i Sądeckich – ażeby spełnić kronikarski obowiązek) i stanowiący izolowaną wyspę rusnacką, łączyli się przez południową granicę Galicji z Rusinami Spiskimi, co nie pozostało bez wpływu na oryginalną kulturę po-

i tańcem

Mariusz Wołkowicz z Kapeli Drewutnia z Lublina, grającej m.in. muzykę łemkowską i rusnacką

granicza Małych Pienin i Pasma Radziejowej, podobnie zresztą jak i polskie sąsiedztwo. W muzyce, poza typowymi dla całej karpackiej góralszczyzny skrzypcami i basami, trzeba koniecznie wspomnieć o charakterystycznych już dla Węgier cymbałach.

Zagrajże, hudaczku,
Na cienkie, na cienkie,
Naj se zatańcujom
Jaworskie panienke.

Gdy ruszało się z owego niezwykłego pieniń-sko-beskidzkiego pogranicza na wschód, w głąb magicznego świata Beskidu Sądeckiego, nad Popradem trafić można było na pierwsze wioski łemkowskie, wyznaczające ostateczną granicę zachodniej (polskiej) i wschodniej (ruskiej) Góralszczyzny. Łemkowie – najliczniejsi i najsłynniejsi z Karpatorusinów – stosunkowo nieźle przetrwali wysiedlenia, unikając smutnego losu Wenhrinów, Zamieszańców i Bojków, zdołali nawet powrócić na swoją ojcowiznę, choć nie na całym jej obszarze. A obszar był spory, obejmował bowiem połowę Beskidu Sądeckiego i niemal całe królestwo Lackowej (997 m n.p.m.) – Beskid Niski. Łemkowszczyzna kończyła się u bram bieszczadzkiego świata połonin, nad pograniczną Osławą, która szumiała najzamożniejszym i najbardziej dumnym łemkowskim gospodarzom, z wyższością – jako górale (łemk. *hyrnjaki*), dawni poddani królewscy (*koroliwcy*) i względni bogacze – spoglądającym nie tylko na nizinnych dolan oraz pańszczyźnianych i dość prymitywnych ukraińskich Bojków, ale i na własnych rodaków z innych regionów Łemkowyni. I z tak wspaniałego samopoczucia mógłby ich wyprowadzić chyba tylko cięty język któregoś z dość tu już odległych Wenhrinów, zarzucających tradycyjnie Łemkom, niezależnie od zamożności, zwyczajną... tępotę. Cóż, sąsiedzka złośliwość zawsze niezawodna!

Muzyka łemkowskich pasterzy, rolników, kamieniarzy, wędrownych druciarzy i maziarzy – nieodłączna towarzyszka góralskiej doli i niedoli, wydobywana była z drewnianych skrzypiec (husli) i basów, cymbałów oraz tradycyjnych sopiłek, nadających charakterystyczne brzmienie spiwankom. O kulturowej przejściowości Łemkowszczyzny świadczy nie tylko język, architektura i instrumenty muzyczne, ale i pieśni weselne, w których wprawne ucho wyłowić mogło bez większego trudu rytmy charakterystyczne i dla polskiego krakowiaka, i węgierskiego czardasza.

Wkażte że nam czado wkażte,
Nechaj my ho wydyme,
Za czym my tu chodyme,
I Petra trudyme.
Proszu pani matko do nas,
Odberte korowaj od nas,
Nasz korowaj figlowanyj
Nasz Petro malowanyj.

Dolina Osławy otwiera już Bieszczady – ostatni skrawek Karpat Wschodnich. Niegdyś gęsto zaludnione przez Bojków, obsiane chyżami i szałasami, po wysiedleniach stały się królestwem dzikiej przyrody, szybko odzyskującej wydartą jej ongiś przez człowieka krainę połonin. Wspaniałe królestwo Tarnicy (1346 m n.p.m.) z tak niezwykłymi krajobrazami i atmosferą żyje dziś więc rykiem jelenia, mruczeniem rysia i niedźwiedzia, wyciem wilka i westchnieniem wrażliwego na piękno fascynata... Kiedyś zaś żyła w rytm bojkowskich piosnek, do których melodię wygrywały skrzypce, basy, bębny i klarnety.

Świty mysiacu z raju
Naszomu korowaju,
Aby buw korowaj krasnyj,
A jak sosenko jasnyj!

Szkoda tego dawnego karpackiego świata. Szkoda świata, w którym codzienność i prostota przeplatały się z pewną dozą egzotyki. Szkoda świata pięknego swoją niepowtarzalnością. Bo czyż Rusini Szlachtowscy nie byli niepowtarzalni niczym skalna gardziel wąwozu Homole i bystrza Kamionki? Czy Łemkowie nie byli unikalni jak pojedynczy krzew wysokogórskiej kosodrzewiny, ozdabiający jeszcze w miarę niedawno grzbiet Magury Wątkowskiej w... Beskidzie Niskim? Czy Bojkowie nie zdumiewali w równym stopniu, co niezwykły piętrowy układ bieszczadzkiej roślinności i wschodniokarpackie połoniny?

Piotr Ziółek z Kapeli Drewutnia grający na bębnie huculskim

Twórczość Kazimierza Przerwy-Tetmajera i Władysława Orkana pokazuje dobrze, że w dawnym świecie górali radość zawsze mieszała się ze smutkiem, a beztroska z refleksją nad ludzkim losem. Bywając w wesołych uzdrowiskach Beskidu Sądeckiego i Niskiego lub nad błękitną taflą Jeziora Solińskiego warto znaleźć chwilkę, aby wybrać się do którejś z wysiedlonych po wojnie wiosek. Obejrzeć starą cerkiew lub jej pozostałości, fundamenty dawnych domostw i przez moment zadumać się nad kulturowym dziedzictwem wieków oraz zmiennością ludzkich losów. Może jeszcze uginający gałęzie drzew w beskidzkim lesie wiatr lub pędzący od bieszczadzkich połonin wicher zdoła przynieść nam echo dawnych melodii, jakiś zaginiony dźwięk drewnianych basów? ■

Mieszkańcy wsi z muzykantami, Berehy Górne lub Wetlina, fot. z archiwum rodziny Bilińskich (arch. Bieszczadzkiego Parku Narodowego)

tekst Bartłomiej Grzegorz Sala

W bieszczadzkim

Przez ostatnie kilkadziesiąt lat mit dzikich i nieokiełznanych Bieszczadów na dobre zagościł w świadomości Polaków. Zakątek, w którym niepodzielnie panuje pierwotna przyroda, królestwo wilków, niedźwiedzi i rysiów, substytut dawnych Kresów, swoisty „Dziki Zachód", chociaż na wschodzie, kraina włóczęgów, samotników, zakapiorów, ludzi będących na bakier z prawem, pograniczników i leśników... Niektórym wydaje się, że tak było od zawsze. Że od wieków bieszczadzkie bezdroża stanowiły matecznik natury i odludków. Gdy jednak docieramy do fundamentów dawnych domostw i starych cerkwi, nawet u ignorantów rodzi się powoli świadomość, że jednak nie zawsze królowała tutaj wyłącznie przyroda.

zb. Łukasza Biedki

Przed cerkwią w Cisnej (fot. R. Górski)

Albowiem zdziczenie Bieszczadów posiada charakter wtórny. Jeszcze przed II wojną światową był to teren ludny i dobrze zagospodarowany. „W odróżnieniu od Gorgan są Bieszczady gęsto zaludnione – wsie zachodzą wszędzie w głąb gór" – notował w przededniu pierwszego światowego konfliktu Mieczysław Orłowicz w swoim *Ilustrowanym przewodniku po Galicyi* [...], a do tego spostrzeżenia dodać jeszcze należy krajobraz szybów, związanych z roponośnym „Eldorado". W poszukiwaniu prawdziwej „męskiej przygody" wybierano się więc w niedostępne, usłane skalnymi rumowiskami Gorgany, aby zaś nacieszyć się kresową egzotyką i folklorem – albo w poleską krainę niekończących się bagien, moczarów i rozlewisk, albo na słynną z bogatej kultury ludowej Huculszczyznę, a więc zdecydowanie bardziej na wschód...

W owym czasie Bieszczady były domem Bojków, dawno w Polsce zapomnianej grupy etnograficznej. Bo i za swojego gospodarowania wśród połonin Bojkowie niczym nie fascynowali. Ich kultura ustępowała nie tylko huculskiej, ale i łemkowskiej. A jednak w swojej prostocie i – co tu dużo mówić – prymitywizmie realizowali swoisty ideał „dzikusa" żyjącego w zgodzie z naturą...

Bojkowie wywodzili się z wołosko-ruskiej fali osadniczej, która ongiś zaludniła karpackie pustkowia. W przeciwieństwie do Łemków i pokrewnych im szczepów, wśród których element zachodniosłowiański odegrał na tyle dużą rolę, że można śmiało mówić o odrębnym narodzie i w przeciwieństwie do Hucułów, u których elementy rumuńsko-bałkańskie widoczne były najsilniej (zaobserwować je można było wyraźnie także u Tucholców), mieszkańcy Bieszczadów uważani byli za lud najbardziej ruski, a nawet najbardziej ukraiński spośród karpackich górali. Przy czym z faktu bycia jednocześnie najbardziej ukraińskimi i najbardziej prymitywnymi nie należy absolutnie wyciągać zbyt daleko idących, a krzywdzących wniosków... Zresztą i dla Ukraińców prostota Bojków stanowiła na tyle duży problem, że – wbrew etnicznej oczywistości – na „swojego" „człowieka gór" (swoisty odpowiednik Górali Podhalańskich w kulturze polskiej) wytypowali bardziej barwnego i rozpoznawalnego Hucuła, a na bazie huculskiej architektury przystąpili do tworzenia swojego stylu „narodowego", jak Polacy w oparciu o styl zakopiański.

Dawna Bojkowszczyzna to przede wszystkim świat cichych wiosek, wbrew przypisywanej ich mieszkańcom zadziorności. W rozrzuconych po dolinach osiedlach i na połoninach toczyło się rolnicze i pasterskie życie. Głównym ośrodkiem tego spokojnego żywota była jednobudynkowa zagroda, gdzie pod tym samym dachem mieszkali ludzie i bydło, a izby mieszkalne sąsiadowały z pomieszczeniami gospodarczymi. *Chyże* pokrywano tu strzechą, a więc i w tym aspekcie Bojkowie jawili się jako mniej wymagający choćby od sąsiednich Łemków, powszechnie stosujących gont. Gościnna izba bieszczadzkiego domu była świadkiem zarówno codziennego, spokojnego bytowania, jak i większych uroczystości. Zwłaszcza oświadczyny (*sprosyny*) były znakomitą okazją, aby wychwalić zamożność – zazwyczaj wątpliwą – chyży i samych gospodarzy.

Aj, znajuż ja, znaju,
Szczo w tym korowaju,
Pszenyczeńka z pid haju,
Wodyczeńka z Dunaju,
Jajcia z pid Kamincia,
A sokia z Krakowcia,
Szafran, perec z Gdańska,
Wsia pryprawa pańska,
A swaszeńki tutejszi –
Ałe obi
Mołodi!

Gdy sprosyny wypadły pomyślnie, należało przygotować się na wesele. Ślub odbywał się w greckoka-

świecie Bojków

tolickiej cerkwi, jakich jeszcze dość sporo pozostało w polskich Bieszczadach, przy czym bojkowskie świątynie – w przeciwieństwie do łemkowskich – nawiązywały już wyraźnie do architektury wschodniego chrześcijaństwa, która na Łemkowszczyźnie reprezentowana była jeszcze dość skromnie, niknąc wśród cerkwi-quasikościołów. Chyba najciekawszą bieszczadzką świątynią jest zachowana do dziś prosta, a przepyszna w konstrukcji drewniana cerkiewka w Równi pod Ustrzykami Dolnymi.

Skoro mowa o weselu, to bojkowski gospodarz w myśl zasady „zastaw się, a postaw się" zawsze starał się – co oczywiście nie jest zbyt oryginalne – ażeby w tym szczególnym dniu nikomu niczego nie zabrakło, zwłaszcza tradycyjnego korowaja.

Świty mysiacu z raju
Naszomu korowaju,
Aby buw korowaj krasnyj,
A jak sosenko jasnyj!

Cerkiew z bieszczadzkiego drewna towarzyszyła też ostatniej drodze bojkowskiego gazdy, o czym warto wspomnieć, bowiem tutejsza ludność szczerze wierzyła, że człowiek posiada dwie dusze: pogańską i chrześcijańską. Powszechnie wierzono też w wampiry, a nieodłącznym elementem bojkowskiego pogrzebu były płaczki.

O-jo-joj,
Poszczoż ty mene na tym świti zistawyw!

Cerkiew to także, a nawet przede wszystkim święta kościelne, a ponieważ piszę te słowa w przeddzień Bożego Narodzenia, przeto pozwolę sobie pójść tym właśnie tropem. Warto szczególnie wspomnieć o kropieniu świątecznego chleba wodą przez gospodarza i wezwaniu *Chrystos rodytsia,* na które pada żarliwa odpowiedź: *Chwała Mu!* Chleb (*krzczun*) ma zresztą toczyć się po podłodze dla wróżby na przyszły rok. Świąteczny wątek zakończmy prastarą kolędą:

W nydilu rano sonejko schodyt,
Świata Preczysta po raju chodyt,
Swoho synojka za ruczeńku wodyt.

W rytmie pradawnych obrzędów toczyło się więc spokojne życie dawnej Bojkowszczyzny. Do czasu.

Cerkiew w Równi

W latach 40. XX stulecia ich wioski stały się zapleczem dla sotni Ukraińskiej Powstańczej Armii, terroryzującej południowo-wschodnie krańce powojennej Polski. Akcja „Wisła" przyniosła w 1947 r. ostateczny koniec Bojkowszczyzny na zachód od linii Curzona. Upowski weteran Łewa Szankowski wspominał po latach: Kiedy wysiedlono z Zacurzonia prawie wszystkich Ukraińców [...] oddziały UPA oraz podziemie OUN nie mogły dalej istnieć, były więc zmuszone opuścić to terytorium. Niezależnie jednak od tego, jak bardzo akcja „Wisła" była w Bieszczadach (ale już nie na Łemkowszczyźnie!) uzasadniona, ani jak bardzo pozwoliła odetchnąć i odrodzić się tutejszej przyrodzie, trudno nie zgodzić się z tym, że ów iście lewicowo-totalitarny projekt na masową skalę wprowadził zasadę odpowiedzialności zbiorowej, urągającą wszelkiej sprawiedliwości, a same wysiedlenia odbyły się w sposób nazbyt brutalny. Poza wszystkim każdy, nawet gdy uważa akcję „Wisła" w Bieszczadach za konieczną, jeśli jest na tyle wrażliwy, aby przedkładać etniczną, kulturową i religijną różnorodność ponad prostackie tendencje integracyjne i zlewanie się wszystkiego ze wszystkim w ogólną bylejakość, przyznać musi, iż rok 1947 przyniósł wielką szkodę właśnie kulturowemu krajobrazowi polskich Karpat. Wspomnieniem dawnej różnorodności są już tylko fundamenty chyży i kryjące się pośród drzew cerkwie. I chyba tylko one mogą nam jeszcze wyszeptać dawne bojkowskie pieśni...

Traczu lita w lutom hori
I kińcia ne baczu;
Tylko myni łeksze stane
Jak troszki popłaczu... ■

tekst Robert Bańkosz, fot. Arkadiusz Komski

Kuchnia w górach

Pogranicza zawsze fascynowały, jako miejsca styku różnych kultur, nacji, religii, języków. Granice same w sobie wywoływały emocje, gdyż ich przekraczanie od wieków było trudne. Wymagało wysiłku, odwagi i sprytu. Często były obszarami magii, ale i tradycyjnym miejscem wymiany towarów i usług.

Bieszczady to region, który nie rozpieszczał swoich mieszkańców obfitością płodów. Nienajlepsza jakościowo ziemia i surowy, górski klimat, powodowały, że często pod strzechy chyż zaglądał głód, zwłaszcza na przednówku. Dodatkowo przechodzące liczne wojny i najazdy rabowały i tak już bardzo ubogie górskie wioski. Bardzo często ludzie musieli szukać pożywienia w lesie i na łąkach, stąd w menu Łemków czy Bojków często pojawiały się grzyby, orzechy laskowe czy jagody, a nawet pokrzywa, szczaw, barszcz zwyczajny, jagody, lebioda, rdest, dzięki którym udawało się przetrwać najtrudniejsze okresy: nieurodzaj, przednówek, czy czas wojny. Do mąki służącej do pieczenia dodawano w okresach głodu zmieloną korę brzozową lub dębową, a często także mielone kłącza perzu, czy zmielone żołędzie.

Łan owsa

Sarah Smith

Oczywiście do podstawowych surowców, z których wykonywano potrawy, należało mleko krowie, kozie lub owcze, z którego robiono sery (twaróg, oscypek, redykołki, bryndzę, ser żółty, wędzony, gołki, hurdę), masło, maślankę, serwatkę czy żentycę. W oparciu o nie wymyślano przeróżne posiłki, mieszając je ze wszystkim, „co się dało".

Bardzo ważnym składnikiem było zboże. Aż po XX wiek w przytłaczającej większości był to owies (szczególnie w górach), z którego pieczono chleb i robiono kaszę. Oskar Kolberg opisując menu bieszczadzkiego pogranicza łemkowsko-bojkowskiego, często wspomina o roli, jaką odgrywał tu owies, nazywając opisywane tereny „ziemią owsianą". Przytacza on anegdotę, jak to tutejsi górale powracali do swoich rodzinnych stron spod Lwowa, gdzie pracowali przez kilka miesięcy i w połowie drogi spotkali się z idącymi w przeciwnym kierunku krajanami. Uradowali się ogromnie, nie tylko z powodu spotkania pobratymców, ale i z poczęstunku chlebem owsianym, który ci mieli ze sobą, a za którym tamtym tęskno już było, i to nie ze względu na jakieś jego szczególnie przymioty, ile na surowy smak, który przywodził na pamięć rodzinną chyże i góry.

Mięsa jadano mało i czynili to tylko najbogatsi gospodarze, zwykle na większe święta czy wesele. Mało też jadano drobiu, gdyż kury trzymano głównie dla jajek, a rosół wiązał się najczęściej z chorobą kury, a co za tym idzie zgonem przyśpieszonym przez gospodarza, zanim sama zdechnie. Jajek też używano stosunkowo niewiele, gdyż szły one na sprzedaż, za co zdobywano pieniądze niezbędne do zakupu soli, siarniczek czyli zapałek i innych rzeczy, których nie można było wyprodukować własnym sumptem i trzeba było kupować w mieście.

Jajek używano do wykonywania pieczywa obrzędowego czy świątecznego, często dodając doń również np. suszone owoce i miód. Powstawały wówczas korowaj, karczun, paska itp. Na co dzień pieczono podpłomyki, proziaki, oszipok… Były to chlebki, a właściwe placki na zakwasie chlebo-

Łemków i Bojków

wym, piwnym lub nie kwaszone. Prawdziwy chleb w przeciwieństwie do niewielkich, codziennych placków pieczonych na ogniu, a później na blasze, najczęściej wspomnianych już owsianych oszczypków, cieszył się szczególnym szacunkiem, wręcz czcią. Był też niezbędnym elementem uroczystości rodzinnych oraz świąt religijnych, i jako taki miał różny kształt, skład i wielkość w zależności od rodzaju imprezy, na którą był przeznaczony. Warto tu wspomnieć, że w wioskach, w których występowały źródła solne, a takich było sporo, w okresie, gdy nie starczało pieniędzy ludzie sami pozyskiwali z nich sól, odwarzając ją z solanki. Czyniono tak jeszcze w czasie II wojny światowej.

Istotnym elementem bojkowskiej i łemkowskiej diety były ziemniaki, nazywane m.in. *kompery, bandury, kartofle, grule, bulba, trompaky* czy *jabka.* Od czasu, gdy rozpowszechniły się na tych terenach w XVIII w., weszły na stałe do ludowego jadłospisu, stając się bodaj czy nie głównym składnikiem potraw. Jedzono je na wszelkie możliwe sposoby, począwszy od pieczonych w ognisku, a skończywszy na wymyślnych potrawach. Obecnie trudno sobie wyobrazić nawet, że jeszcze 200 lat temu zupełnie ich tutaj nie znano. O randze, jaką zyskały z czasem ziemniaki u Łemków i Bojków świadczyć może ludowe przysłowie: „Łemko tylko wtedy jest rad, kiedy mu kompery się zrodzą". Zakopcowane ziemniaki dawały się łatwo przechowywać zimą. A wiosną stosunkowo szybko pojawiały się młode ziemniaki, które można było wykorzystać w kuchni. Warto przypomnieć, że poprzednikiem ziemniaka, który wcześniej rozpowszechnił się w Europie, przywieziony także z Ameryki Północnej, był mało dziś znany topinambur.

Mało dziś znane bulwy topinambura

W czasach „przedziemniaczanych" na stołach zazwyczaj gościły różne kasze, które uzyskiwano obtłukując łuski ziaren zboża w stępach (*stupach*). Z jęczmienia otrzymywano pęczak, a z prosa jagły. Pszenicę, żyto czy owies przerabiano głównie na mąkę. Ze zbóż wykonywano także *prażmo.* Wykorzystywano również rośliny strączkowe, takie jak soczewica, bób czy groch. Ważną częścią diety były bryje, nazywane na naszym terenie *mamałyga, kulesza, banusz* (*banosz* na Zakarpaciu) oraz *czyr,* w zależności od konsystencji i rodzajów zastosowanej mąki oraz regionu Wschodnich Karpat. Jeśli chodzi o tłuszcze, stosowano powszechnie oleje z lnu i konopi, a także tłuszcze tłoczone w domu, w niewielkich praskach lub w olejarniach. Tłuszcze zwierzęce pojawiały się w potrawach w miarę zamożności gospodarza. Powszechnie używano słoninę (*sało*).

Mamałyga często spotykana na stołach Łemków i Bojków

Zapewniając sobie, może nawet nie do końca świadomie, witaminę C w okresie zimowym, kiszono kapustę i ogórki, które spożywano potem przez wiele miesięcy, a na kwasie kapuścianym gotowano zupy. Często warzono żur, będący stałym bywalcem na bieszczadzkich stołach. Przygotowywano również polewki z wykorzystaniem barszczu zwyczajnego, lebiody, szczawiu, marchwi, pietruszki, cebuli, selera, grochu, kapusty, brokułów, fasoli, kalafiora, ale też i rdestu czy pokrzywy. Najczęściej spożywano rozmaite kasze, kluski, bryje, chleb owsiany lub żytni. Pszenny chleb gościł tylko u zamożniejszych gospodarzy w okresach większych świąt. Wykorzystywano również warzywa, które uprawiano przy chatach. Chętnie jadano groch, kapustę, rzepę, cebulę, buraki, marchew, pietruszkę, bób, fasolę, kukurydzę (szczególnie we wschodniej i południowej części Karpat Wschodnich). Suszono też na zimę grzyby i owoce, robiąc z nich następnie proste, ale bardzo smaczne potrawy.

Z mięs jadano wieprzowinę (szczególnie w XIX w.), drób, mięso kóz, wołowinę, baraninę, lecz oczywiście okazjonalnie, podczas świąt religijnych i uroczystości rodzinnych. Częściej gościło ono raczej na stołach zamożniejszych gospodarzy. Mięso i wędliny celem dłuższego przechowywania solono, wędzono lub suszono. Spożywane były również potrawy z ryb, szczególnie w okresach postnych. A podczas ważniejszych postów nie jadano nawet nabiału.

Szczególnie popularnym napojem była tzw. oskoła z brzozy lub klonu, nazywana różnie w różnych częściach gór. W powszechnym użyciu było mleko, serwatka, maślanka. Szeroko stosowano

Pierogi w różnych „aranżacjach" to charakterystyczna potrawa mieszkańców Bieszczadów

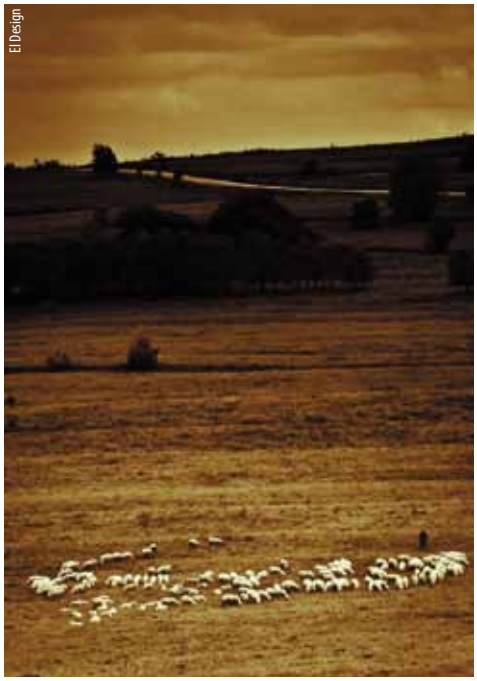

Wypas owiec

napary z ziół nazywane herbatami od łacińskiego słowa *herba* czyli zioła, *czaj* zaś to napar pochodzący z oryginalnych liści herbaty. Powszechnie pito kwas chlebowy, którego domowa produkcja nie była skomplikowana. Pito także różnego rodzaju kompoty owocowe i soki, robiono również podpiwki.

Naturalnie podstawowym napojem była woda. Dobrze, jeśli pochodziła ona ze źródła, gorzej, jeśli czerpano ją (zwłaszcza w okresie XIX-wiecznego przeludnienia w Galicji) z płytkiej, przydomowej studni, gdzie gromadziła się woda podskórna, „bogata" szczególnie latem w liczne bakterie, zważywszy choćby na sąsiedztwo zabudowań gospodarczych, szczególnie w niżej położonych częściach doliny.

Nie stroniono również od alkoholi. Wina przywożone z Węgier czy pitne miody były najczęściej poza możliwościami finansowymi ludności wsi. Stały one przeważnie na szlacheckich stołach. Po wsiach pito najczęściej palinkę, palunkę, horyłkę, gorzałkę, okowitę. Od XVII w. zaczęła ją wypierać coraz to silniej wódka, robiona ze zboża, a następnie ziemniaków. Obfitość ziemniaków w Galicji w I połowie XIX w. spowodowała, że w 1844 r. produkcja wódki z tego surowca w Galicji, stanowiącej jakieś 10% terytorium monarchii habsburskiej, stanowiła 60% łącznej produkcji spirytusu w kraju. W efekcie rząd austriacki podjął szereg działań, mających na celu walkę z pijaństwem, m.in. nakaz organizacji wesel przed południem, kiedy karczmy musiały być jeszcze zamknięte.

Piwo w minionych stuleciach było zazwyczaj ciemne i słabe. Dopiero od 1842 r., dzięki sukcesowi browarników z Pilzna, jasny Pilzner zaczął podbijać monarchię habsburską, a następnie cały świat. Samo picie piwa było dawniej nawet o wiele zdrowsze od spożywania zwykłej wody, gdyż piwo robiono na bazie przegotowanej wody, podobnie jak sycone miody pitne. Warto jednak przypomnieć, że prawo propinacyjne spoczywało w rękach szlachty lub kościoła na wsi, a władz miejskich w mieście. Właściciele prawa propinacyjnego najczęściej oddawali karczmę wiejską w arendę, którą zazwyczaj trudnili się Żydzi. Stąd częste posądzanie ich o rozpijanie ludu. Główne zyski jednak z tej działalności pozyskiwali rodacy z innych grup społecznych. Kiedy władze nałożyły podatek propinacyjny, szlachta starała się zrekompensować straty, której zyski z tego przywileju wynosiły dotąd od 1/3 do połowy dochodów z majątku. Spowodowało to zwiększenie działań dworu w kierunku popularyzacji wódki na wsi oraz częste przypadki płacenia za wykonaną pracę talonami na alkohol, do wykorzystania we własnej karczmie.

Rozmawiając o kuchni w regionie, nie należy zapominać, że oprócz kuchni chłopskiej, istniała kuchnia szlachecka, różniąca się choćby dziczyzną, na którą (oprócz wilków i zajęcy) chłopom nie wolno było polować. Odmienna była również mieszczańska, żydowska, cygańska, itd.

Jednak sama kuchnia chłopska nie była jednolita. W ramach jednej wioski inne było menu chłopów gospodarzy, zagrodników czy komorników. Zależało ono także od położenia wioski w wyższych lub niższych partiach gór, a co za tym idzie, od tego, jaki był udział pasterstwa w gospodarce wsi i jaki rodzaj zwierząt dominował w hodowli. Kuchnia ulegała również przemianom w poszczególnych stuleciach, z powodu zmian klimatycznych, ekonomicznych, pojawienia się nowych produktów, kontaktów z innymi środowiskami czy po prostu mód.

Teraz, gdy wszystkie regiony, zwłaszcza te turystyczne, szukają swoich ciekawostek kulturowych, drzemiących w mrokach wcale nie odległej historii, warto skorzystać ze starych receptur i wskrzesić potrawy naszych babek „ku zdrowiu i uciesze powszechnej". Nie wolno jednak zapominać o „umiarkowaniu w jedzeniu, a zwłaszcza w piciu...". ■

Zamieszane nuty

Słońce zawisło leniwie nad odległym garbem Beskidu. Senną atmosferę wioski przerywają tylko silniejsze wezbrania wiatru. Znajdujemy się kilkanaście kilometrów na północ od Krosna, tyle że przed stu laty. W czasach, gdy gospodarowali tu jeszcze dawni mieszkańcy – Zamieszańcy.

Piotr Koczab

Widok na pasmo Królewskiej Góry (po lewej) i Brzeżankę (po prawej) – tereny zamieszkiwane niegdyś przez Zamieszańców

W 65 rocznicę wysiedleń ludności ruskiej z południowo-wschodniej Polski trudno nie zauważyć, że ubywa niestety osób pamiętających dawną różnorodność etniczną polskich Karpat. O niektórych ruskich grupach etnograficznych przypominają już tylko stare cerkwie i resztki fundamentów chałup. Zanikły dawne rusińskie gwary, zamilkły prastare nuty. Dramat wysiedleń przetrwali jeszcze jako tako Łemkowie, zwani też Rusnakami (chociaż tego drugiego określenia używa się także w szerszym znaczeniu), którzy powracali i wciąż powracają na swoją ojcowiznę, wciąż rokrocznie zapala się watra w Zdyni, ale o Bojkach, a tym bardziej o losach mniejszych społeczności Rusinów Szlachtowskich (dawniej zaliczanych do Łemków) z Małych Pienin, Wenhrinów z okolic Muszyny, Zamieszańców z rejonu Krosna i Dolinian spod Sanoka szepczą już tylko cerkiewne ściany i wiatr...

Niezwykle ciekawą grupą byli właśnie podkrośnieńscy Zamieszańcy, których sama już nazwa jest intrygująca. Obok Dolinian tylko oni spośród karpackich Rusinów byli ludnością niegóralską. Dumny Łemko jako góral, *hyrnjak,* zapewne nie bez pogardy spoglądał na tych dolan, niczym honorny Góral Podhalański na lachów (warto tu na marginesie dodać na użytek „krupówkowych" turystów chętnie nazywających siebie ceprami, że określenie to – także oznaczające mieszkańca nizin – ma charakter wyjątkowo obraźliwy!).

Wróćmy jednak do naszej wioski. Życie płynie tu niezwykle powoli. Są jednak takie dni, gdy monotonną codzienność zastępuje gwar i ruch. Gdy nie tylko szczekanie psów i wycie bydła przerywa ciszę. Gdy słychać pradawną nutę:

Worisze woriszeńko,
Rosni mi pry domeńku,
Rozwesel tatusieku,
I ciłu rodyneńku.

Oznaczać to może tylko jedno – zbliża się orszak weselny. Wyruszył już od domu swatki i kieruje się ku chałupie pana młodego. Stara piosnka trzykrotnie wydobywa się z gardeł weselników. Podobną znają i Polacy z sąsiednich wiosek:

Zielony orzeszeńku,
Zostanże przy domeńku,
Pocieszaj matusieńkę,
I całą rodzineńkę.

Skąd to podobieństwo? Może wynikało z sąsiedztwa? A może stąd, że nie tylko „niegóralskość" odróżniała Zamieszańców od Łemków, Bojków, Rusinów Szlachtowskich czy Wenhrinów? Drugą charakterystyczną cechą Rusinów spod Krosna był bowiem ich etnos. Wszyscy Karpatorusini wywodzili się z wołosko-ruskiej fali migracyjnej poruszającej się wzdłuż karpackiego łańcucha górskiego, która nałożyła się na idące od północy osadnictwo polskie (bardziej na zachód żywioł wschodniosłowiański nie dotarł, a ze spolonizowanych Wołochów wykształciły się grupy polskich górali). Charakterystyczne, że u czarnohorskich Hucułów silne są antropologiczne i lingwistyczne cechy wołoskie (rumuńskie), a u środkowobeskidzkich Łemków – polskie, zaś

Przedwojenne zdjęcie Zamieszańców ze wsi Krasna (dawniej Korostenka)

krasna.pl

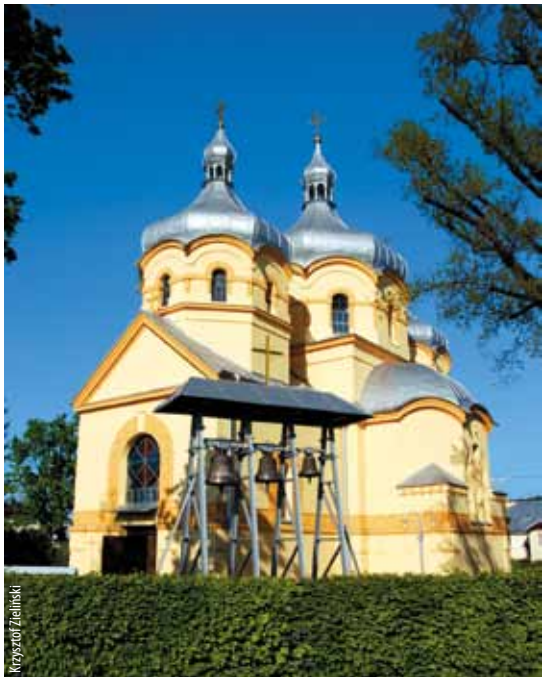
Krzysztof Zieliński

Dawana cerkiew greckokatolicka we wsi Krasna (Korostenka) k. Krosna

bieszczadzcy Bojkowie uważani są za lud czysto ruski. Do podkrośnieńskich wsi tak charakterystyczny żywioł wołoski nie dotarł w ogóle, co stanowi absolutny ewenement. Natomiast osadnictwo wschodniosłowiańskie nałożyło się tu w XV–XVI w. na polskie w proporcjach dość wyrównanych. Tak powstał mieszany polsko-ruski lud, któremu najpierw Łemkowie i Ukraińcy, a później również Polacy przydali sugestywną nazwą zamieszanego narodu – Zamieszańców.

Jak łatwo się domyślić, mowa zamieszanego narodu wykazywała podobieństwa zarówno do gwary łemkowskiej, jak i do języka polskiego, w pewnym sensie stanowiąc ich wypadkową. Dla przykładu – ludność góralska (pol. *górale,* łemk. *hyrnjaki*) była w ich narzeczu nazywana wymiennie *hirniakami* lub *górniakami* (inne przykłady cytuję przy przytaczaniu tekstów pieśni). Sami siebie określali po prostu mianem Rusinów. Przez Łemków, obok dolan (zwrot bez etnicznych konotacji) nazywani byli podobnie jak później i przez Polaków (używających też nazwy własnej Rusinów) – *Zamiszańcami* lub *zamiszanym naridem,* niekiedy nawet *Mazurami* (!). Zresztą, ze swymi zgrzebnymi koszulami i spodniami przewiązanymi rzemiennym paskiem oraz wierzchnimi płótniankami, nie różnili się Zamieszańcy w swym ubiorze istotnie od sąsiedniej ludności polskiej.

Ale orszak weselny dotarł już pod dom przyszłego małżonka. I już niesie się kolejna pieśń:

Deste bywały obu mołodczykowie?
Tam my bywały u swasusienki w komori,
Tam my wydały krasnyj korowaj na stoli,
I wydały my krasnu rizgu na stoli.

Dawna cerkiew greckokatolicka we wsi Bonarówka (dawniej Bonariwka)

W. Sobocki

Czas jednak wyruszać do panny młodej. Następuje więc obrzęd symbolicznego zbierania pieniędzy na czepiec (symbol kobiety zamężnej) dla niej. Nie może i tu zabraknąć muzyki przodków:

Czas składku składaty,
W dorohu jechaty,
W dorohu, dorożeńku,
Po krasnu Marysienku.
Po zełenyj winok
Po zołotij perstinok,
Po malowanu skryniu,
Po Marusiu gazdyniu.

Już mały bochenek chleba (*huśku*) leci w górę, ku uciesze tych, którzy pragną go pochwycić przed innymi. Ledwie walka się rozstrzyga, gdy trzeba wyruszać. Słońce odprowadza głośny orszak pod chałupę przyszłej małżonki. Jakiż to był dom?

Zamieszańcy mieszkali skromnie. Zwykle chałupa posiadała jedną tylko izbę, dwuizbowe należały do rzadkości. Chata pełniła zazwyczaj także funkcje gospodarcze – sień dzieliła ją na izbę i stajnię dla bydła. Tylko zamożny gospodarz mógł pozwolić sobie na luksus posiadania oddzielnych budynków gospodarczych. Wnętrze izby mieszkalnej też nie zdradzało cech bogactwa – ot, ława, stół, mniejsze ławeczki i łóżko. Co ciekawe jednak – domy zazwyczaj posiadały kominy, zaś kurne chaty należały do rzadkości.

Weselnicy stają przed domem panny młodej. I znów rozbrzmiewa kolejna pieśń:

Puśte nas puśte, bo nas swateńko bije,
Bo nas swateńko bije, sukienka na nas hnyje,
Sukienka pożyczona, to bude wymówiana.

A po wejściu do chałupy:

Boraje pryjechały – zazuli rozehnały.

Zazule (kobiety przekomarzające się z weselnikami) istotnie zostają *rozehnane* od stołu, za którym siada orszak. Nie obyło się jednak bez datku w postaci wódki i paru centów.

Zamieszańcy byli społecznością ubogą, trudniącą się rolnictwem. Siali najczęściej (z powodu nieurodzajności gleb) owies. Jadali zwykle chleb owsiany, ziemniaki i *kisielicę* (rodzaj żuru), a za przysmak uważali rozmokniętą na papkę fasolę. W dniu wesela fasoli, chleba i wódki zabraknąć nie może.

Gdy przyprowadza się pannę młodą, chatę wypełnia kolejna piosnka:

Wyjdy Hanusiu do nas,
Odber korowaj od nas.
Bo w naszim korowaju
Zeliczko koło kraju,
W seredeni medec sołodec
A nasz Andrusio mołodec.

Czas już wyruszać do cerkwi. Drużbowie nerwowo poprawiają pióra u kapeluszy, a drużki – wieńce na głowie. Kilkakrotnie śpiewają:

Hrajte husełki rizko,
Kłaniajsia Maruś nisko,
O kłaniaj, kłaniaj
Stopahy padaj
Hidnyj Tatusio toho
Pokłonajhu twojoho.

Podobną pieśń znali też miejscowi Polacy:

Grejcie weseléj grejcie, [bis]
Hanusi żali déjcie. [bis]
Grejcie weselej rześko, [bis]
Kłaniaj się Hanuś nisko, [bis]
Kłaniaj się bo masz komu, [bis]
Ojcu, matce, swojemu [bis].

Co więcej, jej jeszcze bardziej dokładny odpowiednik znali także Łemkowie:

Hrajte husełki risko,
Kłaniaj sia Kseniu nisko,
Jak otciu, tak mamońci,
Tak wszystkoj rodynońci.

Orszak wyrusza do świątyni.

Z zamieszańskiego budownictwa sakralnego do dziś zachowało się pięć cerkwi murowanych:

w Czarnorzekach, Krasnej (Korosteńce), Oparówce, Rzepniku (Ripniku) i Węglówce (Waniwce) oraz jedna drewniana w Bonarówce (Bonariwce). Jest to niezwykle piękna, orientowana budowla z 1841 r. o zrębowej konstrukcji, z charakterystyczną wieżą słupową. Zarazem dowód kunsztu zamieszańskich cieśli z ich przełożonym – Janem Liską na czele.

Po greckokatolickim nabożeństwie weselnicy wracają, śpiewając zaprawionymi dodatkowo w cerkiewnych ścianach głosami:

Czestuj mamusiu zientiu,
Jesłyś na neho w diechu
Czestuj że jego winom,
Jesły ty na neho miła.

Znak to, by na podwórze wynieść tradycyjne mleko dla młodych.

Skąd jednak znamy te pieśni i obrzędy? Muzyka i obyczaj, jako rzeczy ulotne, zapewne zniknęłyby bez śladu, podzielając los swych twórców. Szczęśliwie, kilka weselnych pieśni zanotował niestrudzony proboszcz w Szebniach z przełomu XIX i XX w. – ksiądz Władysław Sarna. Ten niezwykły kapłan zasłynął przed ponad stu laty jako najwybitniejszy „krosnolog", wydając w 1898 r. w przemyskiej drukarni Józefa Styfiego *Opis powiatu krośnieńskiego pod względem geograficzno-historycznym.* W tej potężnej monografii zawarł – można śmiało rzec – całość wiedzy geograficznej, historycznej, etnograficznej, gospodarczej (od rolnictwa po wydobycie ropy naftowej) i religijnej (wraz z funkcjonującymi zabobonami!) na temat ówczesnego powiatu krośnieńskiego. To dzięki jego pracy zamieszańskie piosnki i obrzędy weselne oparły się katastrofie swych twórców. On zwrócił także uwagę na przytoczone tu przykłady podobieństw pieśni zamieszańskich, polskich i łemkowskich.

Nie byłoby jednak wesela bez oczepin. I temu obrzędowi towarzyszyć musiała stosowna nuta:

Hde dużbusiu swaty?
Czas mołodyńkom spaty
Bo sia Andrusio hniwat,
Że neborzeńko lihat.

Gdy powtórzono ją dwukrotnie, następował kolejny, niezwykle ciekawy obrzęd. Drużba ścieliła młodym małżonkom posłanie na strychu, gdzie ci niezwłocznie się udawali. Gdy już schodzili, wszyscy obecni obmywali się wraz z nimi w wodzie. Wróciwszy do izby mogli oddać się weselnej zabawie.

Ale żadne wesele nie trwa wiecznie. W 1947 r. akcja „Wisła" położyła kres kulturze zamieszanego narodu. Zamieszańcy wyrwani ze swej ojcowizny ulegli asymilacji z polską (rzadziej ukraińską czy łemkowską) ludnością Ziem Odzyskanych. Na ich miejsce przybyli osadnicy polscy. Umilkły pradawne nuty. I tylko wiatr snujący się po resztkach fundamentów i zdziczałych sadach zdaje się czasem tęskno zawyć *Deste bywały obu mołodczykowie?* ■

Wszystkie cytaty za: W. Sarna, *Opis powiatu krośnieńskiego pod względem geograficzno-historycznym*, reprint, Krosno 2003. Tam też opisy obrzędów i inne informacje o Zamieszańcach. Inne wiadomości o tej grupie etnograficznej zob. M. i A. Michniewscy, M. Duda, *Cerkwie drewniane Karpat. Polska i Słowacja*, Pruszków 2003.

tekst Tomasz Kosiek

Śmierć na Łemkowynie

Być może zabrzmi to trywialnie, ale śmierć, obok narodzin, to jedno z najważniejszych wydarzeń w życiu człowieka. Natura tego wydarzenia była na tyle niezwykła, że w wielu kulturach towarzyszyły mu zespoły wierzeń i praktyk, określane przez etnografów mianem obrzędowości pogrzebowej. Nie inaczej było wśród ludności łemkowskiej zamieszkującej do 1947 r., południową część dzisiejszych województw podkarpackiego i małopolskiego.

Nagrobek z lapidarium przy cerkwi w Kotaniu

Łemkowie, według przekazów etnograficznych, mieli swoje sposoby na ochronę siebie i swych bliskich przed śmiercią i jej następstwami. Co ważne jednak, wierzyli oni, że każdy człowiek ma z góry wyznaczoną datę śmierci. Poznać ją mogli jedyni ci, którzy oznaczali się głęboką wiarą lub działali na pograniczu znachorstwa i czarownictwa. Zwykli ludzie próbowali przewidzieć nadchodzącą śmierć na podstawie snów i jeśli komuś przyśniła się woda – symbol łez, budowa domu – symbol przygotowywania trumny, rozryta ziemia – symbol grobu, wypadający ząb czy złamane drzewo, to sen ów miał świadczyć o nadchodzącej śmierci. Według Łemków zwiastunem zbliżającego się końca miały być także różne znaki z otaczającego ich świata. Z nadchodzącą śmiercią utożsamiono między innymi upadek ikony, pojawienie się na niebie komety przypominającej swym wyglądem krzyż, wyrwane z korzeniami drzewo, nieudany wypiek wielkanocnej paski czy ujrzenie zmarłych przodków. Zbliżającą się godzinę śmierci mogła zapowiedzieć także kura piejąca jak kogut, skrzecząca sroka lub pohukująca sowa w pobliżu domostwa. Według łemkowskich wyobrażeń śmierć miała mieć postać wysokiej, starszej kobiety lub czasem kościotrupa ubranego w białe szaty. W ręku miała trzymać kosę, sierp, miotłę lub grabie.

Do chorych, którym przepowiadano rychłą śmierć wzywano księdza. Duchowny miał za zadanie nie tylko udzielić umierającemu ostatniego sakramentu świętego, ale także ogłoszenie ostatniej woli mającego wkrótce umrzeć. Czasem umierający gospodarz decydował się na samodzielne zapisanie lub ogłoszenie swojego testamentu. Na Łemkowszczyźnie panowało przekonanie, że umierający po ogłoszeniu testamentu był niejako zobligowany do śmierci. Nieogłoszenie testamentu prowadziło nierzadko do zaognienia stosunków wewnątrzrodzinnych. Z chwilą ogłoszenia ostatniej woli umierający żegnał się z rodziną, sąsiadami i przyjaciółmi. Żegnając się prosił zgromadzonych o odpuszczenie wszelkich przewin i krzywd, których mógł być źródłem za życia. Zgromadzeni mieli niejako w obowiązku udzielenie przebaczenia, gdyż tylko to mogło zapewnić spokojną i szybką śmierć.

Po wszelkich możliwych pożegnaniach umierającemu układano na piersiach ręce na krzyż, w dłonie zaś wkładano mu krzyż krest i płonącą świecę. Czuwający przy przekraczającym granicę życia i śmierci modlili się za jego lekką śmierć. Umierającego, któremu zbiorowe wybaczenie win i modlitwa zgromadzonych nie pomagały w szybkim odejściu ze świata żywych, przenoszono z łóżka na zaścieloną sianem ławę

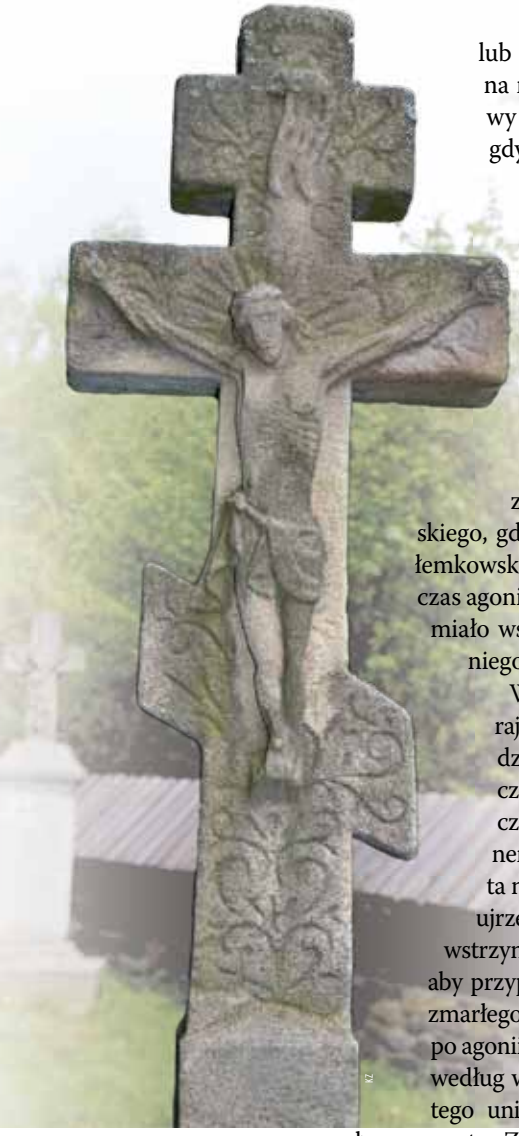

Kamienny krzyż z lapidarium przy dawnej cerkwi w Kotaniu

lub układano na podłodze obok łóżka na rozłożonej żytniej słomie. Spod głowy zabierano mu poduszkę z pierzem, gdyż pióra mogły przeszkadzać duszy w wędrówce do świata zmarłych, a zamiast niej wkładano pod głowę zioła lub rusznyk, w którym zawijano wielkanocną paskę. Dostawał on także do picia święconą wodę, a w domu otwierano wszelkie okna i drzwi. Modlący się przy umierającym byli zobligowani do nieokazywania smutku i żalu z powodu zbliżającej się śmierci bliskiego, gdyż takie zachowanie mogło według łemkowskich wierzeń skutecznie wydłużyć czas agonii. Przedłużające się przyjście śmierci miało wskazywać, że umierająca osoba była niegodziwcem i grzesznikiem.

Wraz z ostatnim tchnieniem z umierającego wychodziła dusza, a zgromadzeni zatrzymywali domowe zegary, by czas od śmierci do pogrzebu nie był liczony. Domowe lustra zakrywano płótnem lub odwracano do ściany. Praktyka ta miała uchronić zgromadzonych przez ujrzeniem śmierci. Do czasu pogrzebu wstrzymywano się także od zamiatania, aby przypadkiem nie wymieść z domu duszy zmarłego. Pilnowano także, aby zmarłemu tuż po agonii zamknąć oczy. Spojrzenie martwego według wierzeń mogło szkodzić żywym. Aby tego uniknąć czasem kładziono na oczach zmarłego monety. Zdarzało się również, że umierająca osoba oddawała ducha z otwartymi ustami. Później, aby je zamknąć należało podwiązać szczęki pod brodą.

Z chwilą śmierci zaczynały się przygotowania do pogrzebu. Najpierw starsze kobiety lub mężczyźni myli ciało zmarłego. W żadnym wypadku w myciu zwłok nie mogły brać udziału kobiety w ciąży i ludzie w młodym wieku. Nierzadko w łemkowskich miejscowościach obmywaniem zmarłych zajmowały się te same osoby. Nieczystą wodę pozostałą po myciu należało wylać w miejscu oddalonym od domostw i ścieżek, tak aby przypadkiem nie szkodziła żywym istotom. Za niebezpieczne, mogące sprowadzić kolejne przypadki śmierci, uważano także przedmioty użyte do kąpieli, takie jak mydło, brzytwę czy grzebień. Nieczystym, a tym samym również niebezpiecznym stawało się łóżko i odzież zmarłego, najczęściej rzeczy te wyrzucano lub palono.

Dawniej przygotowane ciało nieboszczyka zawijano w płótno. Z czasem zaczęto zmarłych ubierać w strój, specjalnie zawczasu przygotowany na tę okazję. Na Łemkowszczyźnie w pogrzebowym ubierze dominował biały kolor. Czasem w stroju nieboszczyka umieszczano element ze stroju weselnego – *soroczkę* – koszulę, suknię lub wstążki. Zmarłych kawalerów, panny i dzieci chowano często w kompletnych strojach weselnych przyozdobionych barwinkowym wianuszkiem i złotą lub woskową obrączką.

Ubrane ciało wkładano do trumny. W przeszłości Łemkowie chowali zmarłych w wydrążonych pniach drzew, ale z czasem zastąpiły je sosnowe i bukowe trumny. Wierzono, że deski na trumnę nie powinny mieć sęków. W innym przypadku zmarły mógłby szkodzić poprzez sękowe otwory zgromadzonym na uroczystości pogrzebowej. Wnętrze trumny wyścielano sianem lub wiórami powstałymi przy jej przygotowywaniu. W miarę możliwości ciało zmarłego wkładały do trumny obce osoby. Kategorycznie zabraniano tej czynności rodzicom zmarłego, gdyż mogło to sprowadzić śmierć na pozostałych członków rodziny. Nieboszczyka układano w trumnie zawsze głową w stronę ikon. Pod głowę wkładano mu zioła lub poduszkę wypchaną sianem, święconymi na Spasa ziołami, otawą, gałązkę czosnku, potłuczone szkło, trzcinę, a to wszystko po to, aby zmarły spoczywał spokojnie i nie był niepokojony przez diabła. Włożone do trumny przedmioty miały także chronić żywych przed pośmiertnymi wędrówkami zmarłego. Według łemkowskich wierzeń największe zagrożenie w tej materii stwarzali samobójcy i osoby podejrzewane o bycie upiorami. Gdzieniegdzie w celu ochrony przed pośmiertnymi wędrówkami takich niebezpiecznych osób, do ich trumny wkładano fragmenty żydowskich pism. Wkładano również przedmioty związane z życiem zmarłego. Głęboko wierzący dostawał modlitewnik, grajek skrzypce lub fujarkę. Prócz tego wkładano także wódkę, fajkę z tytoniem, czy słodycze i zabawki w przypadku zmarłych dzieci. Praktyki te miały chronić żywych przed powrotami zmarłych poszukujących swoich ulubionych rzeczy.

Po włożeniu ciała do trumny, stawiano ją na przyściennej ławie, zaścielanej sianem lub słomą i przykrytej prześcieradłem lub na środku izby na desce opartej o taborety. Obok trumny stawiano świeczniki, za głową krzyż oraz Pismo Święte, święconą wodę i chleb. Następnie rodzina i bliscy zmarłej osoby gromadzili się wokół trumny by pomodlić się za jej duszę, po czym zaczynano wspominać życie nieboszczyka. O zmarłym zazwyczaj mówiono tylko dobre rzeczy, choć podkreślano, że wszyscy ludzie są grzeszni, a zmarły nie był w tym względzie wyjątkiem.

O śmierci wioskową społeczność powiadamiał cerkiewny dzwon, w który uderzano dłużej i z mniejszą częstotliwością niż przy zwyczajnych okazjach. Od chwili śmierci aż do pogrzebu w miejscowości dzwoniono trzy razy: rano, w południe i wieczorem. Dzwonów natomiast nie było w przypadku śmierci samobójców. Etnografowie odnotowali także, że w niektórych miejscowościach bito w dzwon czterokrotnie. Po raz pierwszy w celu poinformowania społeczności o śmierci, po raz drugi gdy niesiono trumnę do świątyni. Później dzwoniono w trakcie przenoszenia trumny z świątyni na cmentarz, ostatni raz zaś w chwili opuszczania trumny do grobu.

Społeczność wiejska na Łemkowszczyźnie była powiadamiana o śmierci także zwyczajem rytualnego opłakiwania zmarłego, lamentem, zwanym *hołosinnja.* Wykonywane były one przez kobiety i dziewczyny z rodziny zmarłego. Czasem w tym celu zatrudniano również wyspecjalizowane płaczki. Na znak żałoby młode kobiety rozpuszczały warkocze i unikały noszenia kolorowych ozdób i strojów. Żałobnicy do czasu pogrzebu powstrzymywali się także od prac gospodarskich, gdzieniegdzie ów zakaz dotyczył nawet całych społeczności.

Ciało nieboszczyka złożone w trumnie czekało zazwyczaj trzy dni na pochówek. W tym czasie domownicy przenosili się do sąsiadów i bliskich, a zmarłego

niemal cały czas nawiedzały osoby z bliższej i dalszej rodziny, a także z sąsiedztwa. Bardzo licznie schodzono się zwłaszcza w godzinach nocnych, kiedy to modlono się i wspominano zmarłego. Niemal tradycją było to, że w trakcie nocnego czuwania nastrój żałoby i powagi przerywały młodzieńcze gry i zabawy w tak zwane *koty, łopatky, swiczynja, did ta baba, kohuta pekty.*

Po dwóch, trzech dniach, gdy przygotowano już grób, wynoszono zmarłego w trumnie z domu. Trumnę nie mogły wynosić z domu osoby z rodziny, gdyż mogło być to odczytane jako chęć szybkiego pozbycia się zmarłego. W chwili wynoszenia trumny stukano nią trzykrotnie o próg domu. Praktyka ta miała być ostatnim pożegnaniem zmarłego z rodzinnym domostwem. Następnie trumnę z ciałem zmarłego stawiano na podwórzu na stołkach, a kapłan odczytywał Ewangelię i przewodził modlitwom. W imieniu nieboszczyka żegnał się także z całą społecznością, rodziną, sąsiadami. Owo ostatnie pożegnanie miało charakter symboliczny, oznaczający wyłączenie zmarłego ze wspólnoty, ale także magiczny, mający na celu ochronę żywych przed jego powrotami. Chronić przed nawiedzaniem nieboszczyka miał także mak, który sypano zmarłemu na oczy, do ust, trumny oraz wokół chaty i na drogę prowadzącą z zagrody na cmentarz. Wierzono, że gdyby zmarły chciał wrócić, pierwej musiałby zebrać i policzyć wszystkie ziarnka maku, a to według ludowych wyobrażeń było zadaniem niemożliwym do wykonania. Wracać mogli zwłaszcza samobójcy i upiory, ale społeczności miały sposoby ochrony przed nimi. W tym celu przybijano małe lusterko do wieka trumny, wierząc, że gdyby nieboszczyk przypadkiem się przebudził, zapatrzy się w swoje odbicie i ostatecznie umrze. W podobnym celu wkładano zmarłym gwoździe lub szpilki do ust, przymocowywano język haczykiem z pętelką, a ręce i nogi wiązano jeżynami lub wiankiem czosnku, na szyję zaś zakładano wieniec z głogu. W okolicach Komańczy odnotowano zwyczaj ucinania głowy zmarłym podejrzewanym o bycie upiorem, którą układano pomiędzy nogami. W podobnym celu wbijano także w głowę zmarłego ząb od brony lub przebijano klatkę piersiową osikowym kołkiem, a nawet palono zwłoki zmarłego na górskich połoninach.

Przed zgubnym wpływem śmierci chroniono nie tylko domowników i członków społeczności wiejskiej, ale także gospodarskie zwierzęta i majątek. W tym celu w spichlerzu na nowo przesypywano ziarno, a w trakcie wynoszenia trumny z domu otwierano wszystkie pomieszczenia i budynki gospodarskie, a także poruszano siano i gospodarski sprzęt. W niektórych okolicach w izbie pod stołem wbijano żelazny ząb z brony. Trumnę do cerkwi przenoszono na ramionach. Gdy zmarł młodzieniec, w niektórych wsiach trumnę niosły młode dziewczyny i odwrotnie, zmarłą pannę nieśli kawalerowie. Za pomocą wozu, a w zimie sań, wieziono trumnę do świątyni jedynie w przypadku, gdy ta była oddalona znacznie od domu zmarłego. Co ważne, do zaprzęgu nie dawano wołów z gospodarstwa zmarłego, a pożyczano je od sąsiada.

Pogrzebowy kondukt otwierał krzyż, chorągwie oraz ksiądz z chórem. Za trumną z nieboszczykiem kroczyła rodzina, bliscy i reszta mieszkańców wioski. W cerkwi kapłan odprawiał *panachydę,* czytał Ewangelię i po raz kolejny święcił trumnę. Potem następowało „ostatnie

zb. Sz. Modrzejewskiego

Pogrzeb we wsi Łosie k. Gorlic, zdjęcie z nieistniejącej chyży rodziny Czupyków/Szlantów

całowanie", kiedy to zgromadzeni obchodzili trumnę trzykrotnie i za każdym razem mijając księdza całowali Pismo Święte i krzyż. Po zakończeniu cerkiewnej części obrzędów wynoszono trumnę ze świątyni stukając nią trzykrotnie o cerkiewny próg w ramach pożegnania. W tym momencie rozlegały się cerkiewne dzwony asystujące żałobnikom aż do cmentarza, który nie zawsze znajdował się w bezpośrednim sąsiedztwie świątyni. Ostatnie modlitwy odmawiano już na cmentarzu, po czym opuszczano trumnę do grobu, czemu towarzyszyły ostatnie *hołosin'* wykonywane przez kobiety. Zgromadzeni w tym czasie rzucali na trumnę grudkę ziemi po to, aby ziemia przykrywająca nieboszczyka nie była cięższa niż owe grudki. Nie pozwalano na rzucanie ziemi dzieciom zmarłego, gdyż ich grudki mogłyby okazać się nad wyraz ciężkimi. Po opuszczeniu trumny kapłan zapieczętowywał grób znakiem krzyża na każdym z rogów mogiły.

Po pogrzebie następowało symboliczne oczyszczenie uczestników poprzez umycie rąk, po to aby zmyć wszelkie pozostałości po zmarłym. Po powrocie do domów uczestnicy pogrzebu powinni byli również przystawić dłonie do pieca, gdyż miało to ich uchronić przed śmiercią. W okolicach Gorlic etnografowie odnotowali zwyczaj odwracania kołami do góry wozu, na którym wieziono trumnę. Dopiero po tym można było w pełni bezpiecznie używać wozu.

Po pogrzebie zapraszano zgromadzonych na *harjaczku,* zwaną też *tryzmą* – czyli na stypę. Na stole pojawiały się powszednie potrawy, a w biedniejszych zagrodach jedynie chleb i wódka. Posiłek kończyły wspominki na temat zmarłego, modlitwy i pieśń *Wicznoji pamiat'.* W nocy po pogrzebie miała pojawiać się po raz ostatni w domu dusza zmarłej osoby po to aby pożegnać się z rodziną. Pozostawiano na stole jedzenie, a w przypadku śmierci mężczyzny też wódkę. Stała także miska z wodą i ręcznikiem, aby dusza miała sposobność oczyszczenia się z grzechów.

Zwyczajowe wspominki po zmarłym miały miejsce po tygodniu oraz czterdziestu dniach od pogrzebu, a także w rocznicę śmierci. Odnotowano także zwyczaj wspominków po trzech, sześciu, dziewięciu i dwunastu tygodniach od pogrzebu. Na każdym etapie wspominek kapłan odprawiał *panachydę.* Nie przedłużano jednak wspominek poza ustalony schemat czasowy, gdyż mogłoby to przywiązać duszę zmarłego do rodziny. Potem zmarłego i pozostałych przodków wspominano tylko przy okazji świąt. ❑

tekst Arkadiusz Komski, fot. Dariusz Szuwalski (Muzeum Historyczne w Sanoku)

Piec Dunikowskiego

Kiedy Aleksander Rybicki wszedł do krakowskiej piwnicy i spod grubej warstwy gliny oraz zanieczyszczeń wydobywał kafel po kaflu, nie wiedział jeszcze chyba do końca, jakiej wartości zabytek leży przed nim. Piec wykonany przez Aleksandra Bachmińskiego, a należący niegdyś do Xawerego Dunikowskiego jest jednym z najbardziej wartościowych eksponatów ceramiki pokuckiej w Polsce.

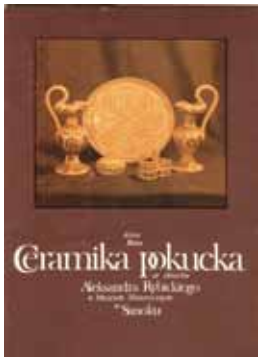

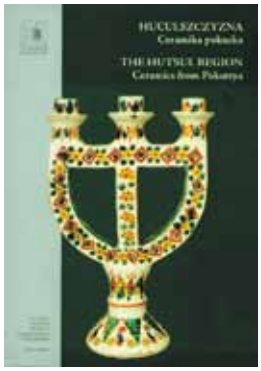

Kafel z pieca Xawerego Dunikowskiego, ze zbiorów Muzeum Historycznego w Sanoku, wykonał Aleksander Bachmiński, II poł. XIX w., glina ryta, malowana na pobiałce, szkliwo

Pokucie to kraina historyczna, leżąca nad górnym Prutem, na terenie dzisiejszej Ukrainy. Nazwa pochodzi od stolicy regionu – Kut nad Czeremoszem. Jest elementem składowym Huculszczyzny, zamieszkałej przez Hucułów, górali pochodzenia ruskiego i wołoskiego, twórców oryginalnej kultury regionalnej w dorzeczu górnego Prutu. Przełom wieków XVIII i XIX to na Pokuciu czas największego rozwoju oryginalnej półmajoliki. Talerze, dzbany, kubki, świeczniki, krucyfiksy i wszystko inne, co tylko można wykonać z gliny pełniły z jednej strony oczywiste funkcje użytkowe. Z drugiej były odpowiedzią na potrzeby estetyczne ludzi. Zainteresowania Włodzimierza Dzieduszyckiego i założenie we Lwowie Muzeum Dzieduszyckich sprawiło, że właśnie tam znalazły się najstarsze znane egzemplarze tej ceramiki. Były to dwa obrazy z wizerunkiem Matki Bożej i św. Mikołaja. Oba sygnowane są przez malarza Mateusza Kowalskiego i noszą datę „1811". W poł. XIX w. wykształciły się ważniejsze ośrodki wytwórcze, przede wszystkim w miejscowości Kosów. Inne to Kołomyja, Pistyń, Riczka i Sokal. Razem z powstającą wówczas modą na ludowość rękodzieło huculskie zyskało dużą popularność. Zainteresowali się nim najwybitniejsi polscy i ukraińscy badacze z Oskarem Kolbergiem i Włodzimierzem Szuchiewiczem na czele. Hrabia Edmunda Starzeński założył w Kołomyi muzeum, które ceramice poświęciło osobny dział zbiorów. Na fali popierania, jak się wtedy mawiało, „przemysłu domowego" Galicji i dla poprawienia kondycji ekonomicznej mieszkańców w 1875 r. utworzono Krajową Szkołę Garncarską w Kołomyi. Jednak jej słabością okazała się kadra nauczycieli-malarzy nie związanych z regionem i nie znających miejscowej tradycji. Wprowadzając obce wzornictwo działali nieświadomie wbrew ideom przyświecającym założycielom szkoły. Przeciętnie kształciło się w niej jednocześnie ok. 20 uczniów, z czego tylko 4–5 miejscowych.

Spośród twórców najbardziej znanym jest Aleksander Bachmiński, którego twórczość była tyleż bogata, co oryginalna. Dość zauważyć, że przypisuje się mu autorstwo m.in. kafli do blisko 150 pieców. A przecież produkował też inne wyroby. Według przekazu miał też być wy-

Włodzimierz Ksawery Tadeusz Dzieduszycki (1825–1899)

Świecznik *postawnyk*, Kosów, II poł. XIX w., wyk. A. Bachmiński

oraz cała reszta

Garnuszek (XIX w.) zdobiony motywami geometrycznymi oraz roślinnymi

nalazcą wyjątkowo udanego szkliwa, równie dobrego jak emalia. Podobno nawet córkom nie zdradził jednak jego tajemnicy. Pytany o to podczas ostatniej spowiedzi, miał odpowiedzieć księdzu: „Pan Bóg mnie to dał, przy mnie też pozostanie".

Swoje prace prezentował m.in. na Wystawie Krajowej we Lwowie w 1877 r. Jako dowód uznania wartości tych prac, odznaczono go wówczas złotym medalem, a jeden z członków rodziny cesarskiej zakupił kilka świeczników. Również cesarz Austro-Węgier Franciszek Józef I, zwiedzający trzy lata później wystawę etnograficzno-przemysłową w Kołomyi, zwrócił uwagę na jego prace, nabywając piec kaflowy do swojej rezydencji. Ceramika z Pokucia była zdobiona dwoma technikami. Pierwsza charakteryzowała się zastosowaniem fresku, po którego wyryciu wypalano wyrób. Wzory były pokrywane pobiałką w dwóch kolorach: białym i czerwonym. Następnie malowano wyrób farbami ceramicznymi, oblewano szkliwem i po raz drugi wypalano. Druga technika – z zastosowaniem wołowego rogu zakończonego słomką lub piórkiem – dawała grubszą linię wzoru. Szkliwa ołowiowe, których używano zależnie od koloru tła, barwiły się na żółtawo, zielonkawo lub brązowo, zachowując przejrzystość.

Dzisiaj na terenie Podkarpacia zbiory sztuki pokuckiej znajdują się w Muzeum Historycznym w Sanoku, Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku, Muzeum Etnograficznym im. Franciszka Kotuli w Rzeszowie, Muzeum Kresów w Lubaczowie, Muzeum Narodowym Ziemi Przemyskiej w Przemyślu i Muzeum Okręgowym w Rzeszowie. Muzeum Historyczne w Sanoku otworzyło stałą wystawę tej ceramiki, w ramach której będą eksponowane najbardziej wartościowe zbiory. ■

Świecznik trójramienny tzw. *trijcia* Kosów, II poł. XIX w., wyk. A. Bachmiński

Motywy roślinne były charakterystyczną cechą zdobniczą pokuckiej ceramiki.
Poniżej: butla na wódkę, wyk. Cwiłyk (1938 r.) i dzban (XIX w.)

Wybrana literatura:

Bata A., *Ceramika pokucka ze zbiorów Aleksandra Rybickiego w Muzeum Historycznym w Sanoku,* Rzeszów 1990.

Janicka-Krzywda U., *Szlakami Huculszczyzny. Katalog wystawy w Muzeum Podkarpackim w Krośnie,* Krosno 2008.

Kostuch B., Tucholska K., *Huculszczyzna. Ceramika pokucka w kolekcji Muzeum Narodowego w Krakowie,* Kraków 2008.

Popieliska-Michalczyk J. (red.), *Na wysokiej połoninie. Sztuka Huculszczyzny – Huculszczyzna w sztuce. W 40. rocznicę śmierci Stanisława Vincenta.*

Przewodnik po zbiorach huculskich Muzeum Etnograficznego im. Seweryna Udzieli w Krakowie, „Rocznik Muzeum Etnograficznego im. S. Udzieli w Krakowie", t. XV.

Sabor A., *Popiół, w którym drzemią iskry,* [w:]„Tygodnik Powszechny", 05.04.2011.

Selwa M., *Ceramika Huculska,* [w:]Ceramika polska (cykl wyd.).

Seweryn T., *Pokucka majolika ludowa,* Kraków 1929.

Wierzbicki L., *Wzory przemysłu domowego. Wyroby gliniane włościan na Rusi (Kosów),* Lwów 1882.

Winnicka K., *Ceramika pokucka,* [w:] *Zamek w Sanoku. Informator Muzeum Historycznego.*

Woch B., *Kresowe dziedzictwo. W blasku huculskiej watry, Katalog wystawy w Muzeum Kresów w Lubaczowie.*

tekst, fot. i fot. archiwalne Szymon Modrzejewski

Kaplica

„Kowalowa" kaplica Zesłania Ducha Świętego(?), II poł. XIX w.

Jest jesień 1987 r. Siedzę na Hyrlatej i gapię się dookoła, na Jasło, Łopiennik, Wołosań, Matragonę. „Przewijam" mapy starannie zapakowane w folię. Austro-węgierskie „kreskówki", polskie „wigówki", niemieckie „grosblaty" (o mapach katastralnych nie miałem wtedy pojęcia). Są już mocno zużyte mimo, że mam je od niedawna. Dbam o te kiepskie odbitki kserograficzne (wyglądają jak z powielacza...) jak mogę, bo zdobycie ich nie było łatwe, a są dla mnie nieocenionym źródłem informacji, o tym czego szukam. Co prawda często jest tak, że wchodząc w pozornie pustą dolinę rozpoznaję bez mapy miejsce po cerkwi, często jest ono na tyle charakterystyczne, że starcza odrobina wyczucia. Z odnajdywaniem innych miejsc jest jednak trudniej. Dnia jeszcze trochę zostało, jest niedziela, mam czas. Na cmentarzach i cerkwiskach w Żubraczem, Szczerbanówce i Maniowie już byłem. Zatem schodzę do Solinki, wsi królewskiej, jak wiele okolicznych wsi niemal zniesionej przez Rakoczego, prosto w stronę drewnianej cerkwi Zesłania Ducha Świętego z 1907 r., która istnieje od lat blisko 40 (dzisiaj ponad 60.) tylko na mapie i w pamięci ludzi, których tu nie ma.

Gdzieś w pół drogi w dół natykam się w lesie na kamień z wyrytym małym krzyżem, to chyba dobry znak, nigdy później go nie odnalazłem, choć dobre znaki nadal spotykam. Nie od razu trafiam na cerkwisko; mapa mapą, kompas kompasem, a krzaki krzakami..., ale w końcu moją uwagę przyciągają okazałe jesiony i ledwie widoczna kamienna podmurówka, jak się okaże później, dzwonnicy. Są nagrobki – zdemolowane oczywiście, podmurówka cerkwi, dwa kute krzyże ze zwieńczenia cerkwi i dzwonnicy. Jeden z nich, młodszy i lepiej zachowany, był jeszcze w 1995 r. Kiedy dotarliśmy remontować tam nagrobki, nie udało nam się go już odnaleźć, obawiam się, że został ukradziony, jak wiele mu podobnych. Robi się późno, notuję co mogę i pędzę drogą przez Strubie do Balnicy.

Kiedy opuszczam Wierszki otwiera się kolejna niby pusta dolina. Schodzę rozglądając się za śladami niedawnej ludzkiej obecności, drzewami owocowymi, resztkami podmurówek, starą drogą, krzyżami przydrożnymi i wypatruję cerkwiska. Już z daleka rzuca się w oczy kępa starszych drzew i po raz kolejny mam wrażenie, że Rusini karpaccy mieli niesamowite wyczucie miejsc, w których wznosili świątynie... Zbliżam się i myślę jak mogła wyglądać cerkiew św. Michała Archanioła z 1856 r. Dobre 10 lat później znaleźliśmy zdjęcie cerkwi, dzwonnicy, kostnicy i... murowanej kaplicy, o której opowiedział mi przyjaciel z Żubraczego, a o której myślałem, że po prostu już nie istnieje. Obszedłem cerkwisko, cmentarz, zrobiłem rysunki (nie posiadałem wtedy aparatu fotograficznego) i popędziłem w dół wsi, bo zaczęło się zmierzchać. Do domu kilkanaście kilometrów, a najwyższa pora znaleźć coś co podobno istnieje! Szedłem drogą przekonany, że położoną za potokiem kaplicę – jak wskazywały mapy – z niej zobaczę (dziś jest już widoczna). Nie wiedziałem jak wygląda, ale miała być większa od maniowskiej. Dolina zwężała się coraz bardziej – to miejsce nazywało się „Tisnyny" – a tu ani śladu. W najwęższym miejscu zszedłem w koryto potoku, przeszedłem na jego zachodni brzeg i podążyłem z powrotem, na południe. Ściemniało się, przeszedłem już dobry kilometr w górę rzeki brnąc przez różnej maści zarośla i las i... nic. Nie wziąłem pod uwagę, że las zagarnął łąki. Zawróciłem wściekły na siebie i pomyślałem, że skoro już wracam, to będę szedł nieco dalej od brzegu. Po kilkuset metrach na-

Stan kaplicy ok. 1910 r.

„Kowalowa”

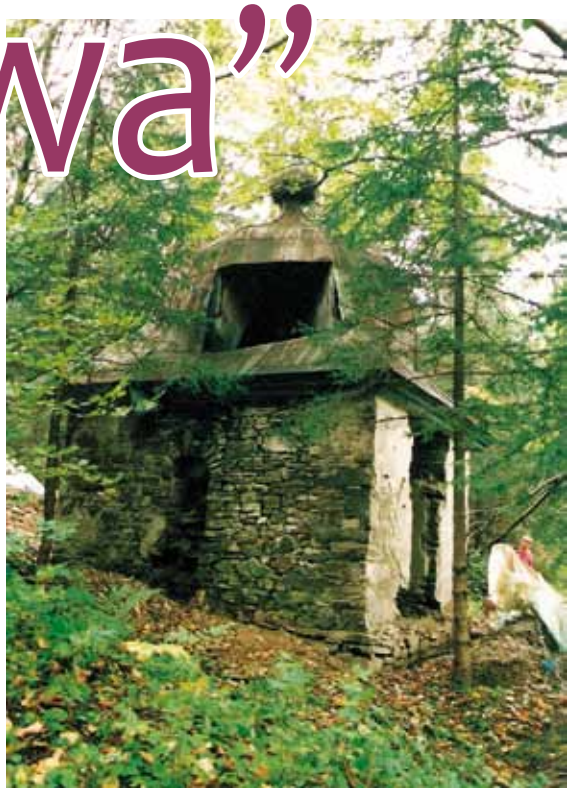

Początek prac remontowych przy kaplicy w sierpniu 1998 r.

trafiłem na jakiś kamienny wał, podniosłem wzrok do góry i... w zapadającym zmroku dostrzegłem kontur murowanej kaplicy nakrytej dziurawym hełmem. Niemal po omacku dotykałem popękanych murów, a z wnętrza przyjrzałem się niebu przez olbrzymią dziurę. Żadnego wyposażenia, drzwi, okien, podłogi, zacieki na krążynach hełmu, a na środku dawno ostygłe ognisko i liście. W ścianach puste wnęki po ikonach, a nad nimi resztki geometrycznej polichromii. Większość wapiennego tynku odpadła, reszta odparzona zdradzała ochotę do odpadnięcia. Brakowało też murowanego nadproża w wejściu, za to w cebulce wieńczącej hełm nadal tkwił piękny kuty krzyż, a poniżej kaplicy nadal biło – bije – źródło, ponoć cuda czyniące. Wracałem i myślałem, że zręcznie byłoby coś zrobić dobrego. Ile później zobaczyłem podobnych miejsc, ciężko zliczyć, ile widzieli ich inni ludzie w innych czasach i miejscach nie sposób policzyć...

Krzyż „pańszczyźniany”, stan z 2000 r.

Lata mijały, kolejne cmentarze, kolejne nagrobki, kolejne remonty, nie zapomniałem o kaplicy, ale też ta pamięć nie była na tyle silna, żeby zająć się kaplicą mimo, że w 1996 r. ratowaliśmy nagrobki na cmentarzu w Balnicy i ustawiliśmy przewrócony krzyż zwany „pańszczyźnianym”. Piszę „zwany”, bo sądząc po jego formie pochodzi z przełomu XIX i XX w., co nie zmienia faktu, że mógł zastąpić starszy krzyż rzeczywiście postawiony w miejscu zakopania pańszczyzny wiosną 1848 r., na co wskazuje także jego położenie na krańcu wsi.

Jesień 1997 r.

Przypadkowo spotykam starego kumpla z Leska i ten zaczyna opowiadać, że Wojtek Gosztyła z Woli Michowej szuka kontaktu z nami. Jesteśmy w pobliżu, jedziemy do Woli. Gosztyła opowiada jak „odkrył” kaplicę. Umawiamy się, że Wojtek nam pomoże. Zaczynam zabiegać o pieniądze na przyjazd do Balnicy. Ostatecznie wsparła nasze czteroletnie starania Fundacja im. Stefana Batorego, Fundacja Karpacka, Fundacja Ochrony Bioróżnorodności Karpat Wschodnich oraz Andrzej Klocek z Krakowa, Marian Iskra z Nowego Łupkowa, Łemkowie ze Smolnika nad Osławą i wiele innych osób prywatnych (pracą i pieniędzmi), których nie sposób tu wymienić. Wszystkim im jeszcze raz dziękuję z całego serca!

Lata 1998–2002

Przez cztery lata przyjeżdżaliśmy do Balnicy pomiędzy wiosną a jesienią, koczowaliśmy przy kaplicy i robiliśmy co w naszej mocy. Zaczęliśmy od usunięcia drzew, które wyrosły na i w obrębie ogrodzenia kaplicy (za zgodą przychylnych nam Lasów Państwowych). Potem odkopaliśmy coś, co trudno nazwać fundamentem i ustawiliśmy szalunki, po to żeby „opasać” kaplicę. Tu zdarzył się pierwszy cud, który w jakimś stopniu potwierdza cudowną moc źródła wypływającego poniżej kaplicy. Otóż opasanie owo wykonała nieodpłatnie produkująca betony specjalne – firma Andrzeja Klocka z Kra-

Od lewej: niezachowana przedwojenna zabudowa wsi Balnica; nieistniejący zespół: cerkiew greckokatolicka św. Michała Archanioła z 1856 r., dzwonnica i kostnica (widokówki z okresu międzywojennego XX-lecia)

„Kowalowa" kaplica, postępy prac remontowych: sierpień 2000 r. (u góry) i maj 2001 r. – naprawiona i uzupełniona więźba hełmu wraz z „cebulką" (u dołu)

kowa, którego poznaliśmy na targach konserwatorskich, a który słysząc, czym się zajmujemy od razu zaoferował pomoc. Przyjechał dwoma dostawczymi autami z Krakowa, z czterema pracownikami, agregatem, betoniarką..., myśmy tylko pomagali. Później uzupełnialiśmy ubytki w murach, przemurowaliśmy parapety okien, ułożyliśmy kamienną podłogę w październiku 1999 r. Przyszła kolej na więźbę hełmu i całkiem przegniłą w środku „cebulkę". Kiedy ściągnęliśmy blachę oczom naszym objawił się jej krytyczny stan, niektóre legary więźby były tak „zjedzone" i zgnite, że można było włożyć w nie rękę po łokieć... Mieliśmy już trochę zgromadzonego drewna, ale o wiele za mało, żeby naprawić i częściowo zrekonstruować więźbę oraz drewniane gzymsy. Rzadko dziś spotykane przekroje niektórych elementów też stanowiły problem, zwłaszcza finansowy, ale ustaliliśmy gremialnie, że kosztem jakichś nieokreślonych oszczędności damy radę. Udałem się do najbliższego tartaku, w Nowym Łupkowie. Stanąłem w drzwiach kanciapy służącej za biuro, podałem rękę, przedstawiłem się i przekrzykując trak, zacząłem siedzącemu tam facetowi tłumaczyć w czym rzecz i że mamy pieniądze i że to „na wczoraj". Wysłuchał cierpliwie i jakby obojętnie. Wstał, przymknął drzwi, usiadł, sięgnął po skórzaną aktówkę, wyjął połówkę, polał, zapaliliśmy, przedstawił się: Marian Iskra... Zapytał o wymiary belek i desek, kim jesteśmy i co nam do tej kaplicy, coś zanotował i powiedział: belki odbierzesz jutro rano, a tu masz adres, zajrzyj tam, oni mają traktor, na pewno ci pomogą, już chciałem zapytać ile to będzie kosztowało, kiedy dodał: A pieniędzy nie trzeba. Zdarzył się drugi cud... Belki musieliśmy do kaplicy donieść, bo chcieliśmy ich jak najszybciej użyć, zwłaszcza, że ucięte były z niemal suchego drewna. Deski dojechały prawie pod kaplicę.

Zacząłem także korespondować ze Stepanem Sułykiem, arcybiskupem, greckokatolickim metropolitą Filadelfii, który urodził się w Balnicy w 1924 r. Adres do niego dostałem zdaje się od ks. Jana Pipki, w tamtym czasie proboszcza greckokatolickiego w Komańczy, którego poznałem jeszcze podczas poświęcenia cerkwi tamże w 1988 r., w 1000-lecie chrztu Rusi. Arcybiskupowi posłałem zdjęcia kaplicy i nas tam pracujących. Odwrotną pocztą dostałem bezcenny podarunek. Mapę Balnicy ze starannie zaznaczonymi domami i innymi obiektami oraz spisem mieszkańców. Wieś ożywała w naszych głowach, a kaplica, o której wiedzieliśmy tyle tylko, że istniała już w 1879 r., poza tym, że stała się „nasza", zyskała jeszcze starą nazwę, którą przytoczył arcybiskup: „Kowalowa" kaplica. Trudno powiedzieć jaki wkład miał gospodarz o nazwisku Stec i przydomku Kowaliw (ten wskazany na mapie był jego potomkiem) w jej powstanie, ale najwyraźniej to na jego ziemi powstała, w pobliżu potoku zwanego „kowalowym", nad źródłem cudami słynącym. Wyobrażaliśmy sobie te tłumy Rusinów, w tej liczbie Łemków, ale i Bojków, a także Polaków, może i nielicznych Niemców, a na pewno przybyszy zza wododziału, z Zemplina, podczas procesji idącej od cerkwi i liturgii w „Kowalowej" kaplicy. Rusala, Zielone Święta, święto Zesłania Ducha Świętego, późna wiosna..., procesję poprzedza paroch Wasyl Podolins'kij albo Mykoła Baczyns'kij albo Dmytro Jurczyk (wszyscy oni urzędowali w Maniowie, cerkiew w Balnicy była cerkwią filialną).

Kiedy wiosną 2001 r. zorientowałem się, że nie dość starannie obliczyłem ilości i pojechałem do Iskry, ten na mój widok powiedział: Idź na plac i bierz co ci potrzebne... W maju 2001 r. z Ludwikiem i śp. Mirkiem zakończyliśmy naprawę więźby i rekonstrukcję „cebulki". Więźba była gotowa. Dzięki wcześniejszym staraniom o pieniądze pozostało tylko zawiadomić zręcznych dekarzy, że mogą robić swoje, co też uczynili starannie, chociaż „łuska", która się pojawiła odbiega od oryginału.

Jesienią 2002 r. wymurowaliśmy jeszcze łuk nad wejściem, wyposażając go w zachowany oryginalny zwornik opatrzony wyrytym krzyżem. Do dziś pozostaje parę rzeczy do zrobienia przy kaplicy i nie wątpię, że w końcu znajdziemy czas na zakończenie remontu. Na koniec przyjrzałem się zdjęciom archiwalnym Balnicy i okolic i... znalazłem spore podobieństwo pomiędzy dzwonnicami w Balnicy i Woli Michowej a kaplicą w Balnicy. Dlaczego? Grube mury, dość przysadzista sylwetka, podobny czas powstania, czyli 3 ćwierć XIX w. i wreszcie bliskość tych dzieł. Obawiam się, że nigdy tego nie dowiodę, ale może ci sami majstrowie je stawiali?

Kaplic wzniesionych koło cudownych źródeł było swego czasu więcej, że wspomnę choćby o Rajskiem (w którym kaplica od zeszłego roku nie chyli się już ku upadkowi), Stuposianach (po niespotykanej okrągłej kaplicy zwieńczonej stożkowym dachem nie ma już śladu), wreszcie Beniowej, Bereżkach czy Radoszycach. ■

„Sybilla" dla Sanoka

18 maja br. z okazji Międzynarodowego Dnia Muzeów w Łazienkach Królewskich odbyła się uroczysta gala wręczenia nagród „Sybilla 2011" XXXII Konkursu o Nagrodę Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego „Wydarzenie muzealne roku".

Celem konkursu organizowanego co roku jest uhonorowanie najciekawszych projektów ze wszystkich dziedzin działalności muzealnej, wyrażenie uznania dla pracy twórców i realizatorów dokonań muzealnych oraz upowszechnianie nowatorskich rozwiązań organizacyjnych. W jury konkursu zasiadają wybitni przedstawiciele świata nauki i kultury, powołani przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Uzyskane wyróżnienia – także w formie pamiątkowej statuetki – są podkreśleniem wysokiej rangi muzeum na kulturalnej mapie kraju.

arch. MBL w Sanoku (2)

Prof. Małgorzata Omilanowska, wiceminister Kultury i Dziedzictwa Narodowego, wręcza Nagrodę Sybilla 2011 dyrektorowi MBL w Sanoku, Jerzemu Ginalskiemu w sali balowej Pałacu na Wyspie w Łazienkach Królewskich w Warszawie

Dwunastoosobowe jury oceniło 181 projektów zgłoszonych przez muzea z całej Polski w 10 kategoriach i do nagrody nominowało 32 z nich, przyznając 9 nagród głównych. Spośród nominowanych w kategorii „Zarządzanie i organizacja, w tym inwestycje muzealne" Nagrodę Główną przyznano Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku za zrealizowanie projektu „Galicyjski rynek – budowa sektora miejskiego w Parku Etnograficznym w Sanoku".

Statuetkę „Sybilli 2011" i dyplom Laureata z rąk prof. Małgorzaty Omilanowskiej, wiceminister Kultury i Dziedzictwa Narodowego, prof. Jana Skuratowicza przewodniczącego jury i prof. Piotra Majewskiego, dyrektora Narodowego Instytutu Muzealnictwa i Ochrony Zabytków, odebrał Jerzy Ginalski, dyrektor Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku. Ta najbardziej prestiżowa nagroda w polskim muzealnictwie jest pierwszą dla sanockiej placówki. ■

100-lecie harcerstwa krośnieńskiego

Wystawa prezentuje historię i dorobek krośnieńskiego harcerstwa od roku 1912 do maja 2012 r. Zgromadzony materiał pozwala prześledzić początki formowania się harcerstwa w Krośnie oraz w powiecie krośnieńskim. Historyczną datą w dziejach lokalnego harcerstwa jest dzień 13.02.1912 r., kiedy to przy Szkole Realnej (obecnie I LO im. M. Kopernika) w Krośnie została założona pierwsza drużyna.

Opracowane kalendarium pozwala prześledzić historię i przedsięwzięcia programowe, odtworzyć w pamięci najważniejsze daty, sylwetki harcerzy i instruktorów oraz poznać środowiska harcerskie Hufca ZHP Krosno. Zgromadzone dokumenty, fotografie, kroniki, sztandary oraz elementy umundurowania i wyposażenia niezbędnego przy organizacji obozów umożliwiają zrozumienie metodyki poszczególnych grup wiekowych - zuchów, harcerzy i instruktorów.

Wystawę obejrzeć można od 31 maja do 8 lipca 2012 roku w Muzeum Rzemiosła w Krośnie – Piwnica PodCieniami (Krosno, Rynek 5). Więcej informacji na stronie www.muzeumrzemiosla.pl/podcieniami. ■

Elżbieta Wawrzkiewicz

Wystawa odznak federacji piłkarskich świata

Mariusz Bęben – wielki pasjonat piłki nożnej, kolekcjoner pamiątek sportowych, głównie odznak federacji piłkarskich świata, posiadacz bogatego księgozbioru poświęconego tej dyscyplinie sportu. Swoją przygodę ze sportem rozpoczął wcześnie, bo w latach 70. XX w. w Klubie Sportowym „Karpaty Krosno" początkowo jako zawodnik grup młodzieżowych, potem zawodnik-senior III- i II-ligowego zespołu, następnie trener i kolejno działacz sportowy (członek Zarządu). Falerystyką, czyli zbieraniem odznak federacji piłkarskich świata, zajął się w latach 80. XX w. Jego kolekcja liczy obecnie ponad 3,5 tys. odznak i należy do jednych z największych w kraju i na świecie. Często uczestniczy w giełdach ogólnopolskich i międzynarodowych, wymieniając doświadczenia z innymi kolekcjonerami, a także prezentując swoje zbiory. W 1995 r. opracował i wydał pierwszy Katalog Odznak Federacji Piłkarskich Świata. Jest zagorzałym i wiernym kibicem Klubów: Legia Warszawa i Real Madryt, w swojej kolekcji ma wiele cennych pamiątek związanych z nimi.

Wernisaż wystawy zbiorów M. Bębna odbył się podczas Dni Krosna w Muzeum Rzemiosła w Krośnie. Czynna jest ona do 8 lipca br. w siedzibie Muzeum przy ul. Piłsudskiego 19. ■

tekst Katarzyna Winnicka, Dział Sztuki Cerkiewnej

Ikony pełne

Ikona Matki Boskiej w typie *Eleusa*, pochodząca z cerkwi we wsi Weremień, XVIII w.

Dwustronna ikona (II poł. XVII w.), powyżej awers ze sceną Zmartwychwstania; poniżej – rewers z wizerunkiem św. Bazylego z dawnego ikonostasu z cerkwi w Karlikowie zniszczonej po 1947 r.

Muzeum Historyczne w Sanoku od kilku lat stara się o pozyskanie środków na ratowanie ikon, które ze względu na swój niekiedy fatalny stan znajdują się w salach magazynowych. W ramach projektów na przełomie lat 2010/2011 udało się odrestaurować kilka wysokiej wartości ikon. Kolejne pieniądze, przekazane w 2012 r. przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, pozwolą na odrestaurowanie następnej partii wytypowanych obiektów, których renowacja potrwa do końca tego roku.

Głównym celem planowanych prac jest zachowanie, ochrona i prezentacja materialnego dziedzictwa kulturowego. Dzięki nim muzealna ekspozycja wzbogaci się o kilka wartościowych obiektów. Żywimy nadzieję, że szacunek i otwartość na wartość tradycji wschodnich – prawosławnych i greckokatolickich związanych z regionem południowo-wschodniej Polski – korzystnie wpłynie na rzecz dialogu kulturowego. Ikony z naszych zbiorów należą do największych i najcenniejszych kolekcji ikon w Polsce i Europie. Posiadamy liczny zbiór sztuki cerkiewnej – ok. 1200 eksponatów, w tym ponad 600 ikon, które są bezcennym świadectwem sztuki sakralnej kościoła wschodniego rozwijającej się w granicach dawnej Rzeczpospolitej – Ojczyzny wielu kultur i narodów. Ich unikalna wartość, bogata ikonografia i naturalne piękno przyciągają setki turystów z kraju i Europy. Dlatego tak ważne jest, by wielkie dziedzictwo ikony przetrwało kolejne lata, co możliwe jest jedynie przy stałym dozorze i opiece konserwatorskiej.

Wśród odnowionych ikon znalazło się pięć okazałych obiektów datowanych na XVII i XVIII w.:

– dwustronna ikona – awers: Zmartwychwstanie, rewers: Św. Bazyli, pochodzenie Karlików, II połowa XVII w.
– Matka Boska Eleusa, pochodzenie Weremień, XVIII w.
– Św. Mikołaj, pochodzenie Jasień, XVII w.
– Podwyższenie Krzyża, pochodzenie Zwierzyń, XVIII w.
– Carskie Wrota, pochodzenie Cisowiec, XVIII w.

Przy renowacji tych obiektów pracowało trzech konserwatorów dzieł sztuki: mgr Barbara Bandurka, mgr Anna Skrabalak oraz mgr Sandra Benedyk. Stan zachowania większości wymienionych ikon był zły i wymagał interwencji konserwatorskiej. Wymienione obiekty wykonane zostały w technice tempery jajowej na zaprawie klejowo-kredowej. Zasięg ubytków warstwy malarskiej wraz z zaprawą często sięgał 40–60 proc. powierzchni. Zdarzało się, że całe lico malowidła pokryte było charakterystyczną dla malarstwa tablicowego siatką spękań spowodowaną cyklicznymi wahaniami temperatury i wilgotności. Ponadto obiekty zagrożone były przez drewnojady z rodziny kołatkowatych, które często atakują drewniane podobrazia. Rozległe zniszczenia wszystkich warstw technologicznych spowodowały, że konserwacja każdej z tych ikon pochłonęła wiele godzin wytężonej pracy konserwatora oraz spory wkład finansowy.

Prace restauratorskie od wielu lat utrudnia brak dobrze wyposażonej pracowni konserwatorskiej. Aktualnie mu-

blasku

simy zlecać konserwacje osobom z zewnątrz, płacąc za wykonane prace niemałe kwoty. Problem jest poważny, ponieważ dotyczy wielu wysokiej klasy dzieł sztuki dawnej, ale też doskonałych obrazów malarzy współczesnych – w tym także prac Zdzisława Beksińskiego, wystawianych na ekspozycji w salach Zamku i przechowywanych w magazynach. Na bieżąco konserwujemy szereg obiektów – musimy cyklicznie wracać do starych, dawno odnawianych obrazów, a jednocześnie ratować te nie konserwowane i zagrożone destrukcją. Dlatego wielkim wsparciem dla muzeum jest dotacja z Ministerstwa. Na realizowany przez nas program dostaliśmy 36,6 tys. zł. – muzeum wygospodarowało własne środki w wysokości 9 tys. zł.

Niemałą sumę otrzymaliśmy w darowiźnie od prywatnego sponsora Andrzeja Batrucha, którego rodzice, jak i on sam, pochodzili z Cisowca koło Baligrodu. Pan Andrzej, obecnie mieszkający w Niemczech, w 2009 r. zwrócił się do muzeum z pytaniem, czy w naszych zbiorach znajdują się ikony z jego rodzinnej wioski, w której spędził pierwsze lata dzieciństwa. Gdy okazało się że są, poprosił o wykonanie fotografii. Dwie z sześciu ikon znajdują się na ekspozycji; pozostałe – ze względu na zły stan konserwatorski – w magazynie. Wkrótce przelał pieniądze na renowację jednej z ikon (z wizerunkiem Chrystusa Pantokratora z XVIII w.), kolejne w następnych roku. Tak zaczęła się nasza znajomość, której towarzyszy wymiana listów.

Spotkaliśmy się z ofiarodawcą pod koniec września 2010 r. Tak się złożyło, że w tym samym czasie na ekspozycji z ikonami miała miejsce wyjątkowa, czasowa wystawa pt. „Ikony malowane ziemią i wodą", gdzie prezentowaliśmy prace Wolfganga Hofera, Austriaka mieszkającego i tworzącego w Polsce. Pan Andrzej Batruch, zauroczony naszą ekspozycją sztuki cerkiewnej, bez zastanowienia zakupił ikonę Hofera, wzorowaną na ikonie ze zbioru sanockiego.

Obecnie restaurowana jest ostatnia z ikon z Cisowca – sporych rozmiarów kwatera z Deesis z wizerunkami apostołów. Mamy nadzieję, że darczyńca nadal będzie pomagał nam w ich konserwacji, gdyż bez wątpienia każda następna czekająca na swoją kolejkę w magazynie warta jest odnowienia i znalezienia się w salach ekspozycyjnych, czego załączone fotografie ikon przed i po konserwacji są najlepszym przykładem.

Świeżości i blasku nabierają kolejne ikony, na które uzyskaliśmy nowe środki z Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Jedna z nich to zdjęta z ekspozycji, wysokiej klasy ikona Zwiastowanie z II połowy XVI w. Nie konserwowana przez długie lata, pokryta ciemnym nalotem i brudem, została oczyszczona i odświeżona. Teraz na nowo lśni nasyconym kolorem, tak że imponujący kunszt jej wykonania jest obecnie zauważalny. Konserwacja pozostałych ikon potrwa jeszcze kilka miesięcy, jednak mamy nadzieję, że zapełnią i powiększa muzealną ekspozycję już na początku 2013 r. ■

Pochodzące z niezachowanej cerkwi w Cisowcu, powyżej: Carskie Wrota, XVIII w.; poniżej: dwustronna ikona, II poł. XVII w.: Matka Boska w typie *Hodegetria* (awers), *Św. Archanioł Michał* (rewers)

tekst i fot. Andrzej Potocki

W Rymanowie najstarsze

Tam, gdzie stoi stajnia i szopy, są pochówki począwszy od co najmniej połowy XIV w. Pewnie dlatego, że kiedyś był to także cmentarz protestancki, nie zadbano o ten teren i sprzedano go w ręce prywatne. Bo arianie – bracia polscy, nie byli jeszcze wtedy naszymi braćmi. Ale to wszystko wydarzyło się dawno, bardzo dawno.

Kościół św. Andrzeja Apostoła był podmiejskim i jednocześnie przedlokacyjnym, stojącym na terenie pierwotnej wsi Ladzin. Na części gruntów tej wsi powstał Rymanów i z czasem Posada Dolna. Świątynię zbudowano zatem przed 1376 r., zapewne nie wcześniej jednak niż w połowie XIV w. Pierwotnie Ladzin, wieś – jak się wydaje – rządząca się prawem polskim, należała do diecezji krakowskiej. Diecezję przemyską utworzono bowiem na mocy bulli papieża Grzegorza XI w 1375 r., ale pierwszego biskupa ordynariusza (był nim Eryk Winsen Mora sprawujący swój urząd w latach 1377–1391) mianowano dopiero w dwa lata później. Kościół ten od czasu lokacji miasta do chwili wybudowania i konsekracji rymanowskiej fary, pomiędzy 1420 a 1430 r., był jedyną świątynią chrześcijańską, z której mogli korzystać mieszczanie i przez co najmniej pół wieku pełnił funkcję pierwszego rymanowskiego kościoła parafialnego. Potem stał się kościołem filialnym. Od początku jego istnienia otaczał go cmentarz, pierwszy w Rymanowie, na którym grzebano zmarłych przez ponad 400 lat.

Przemyśl ok. 1620 r. wg sztychu F. Hohenberga, czerwonym kołem zaznaczono widok kościoła św. Piotra

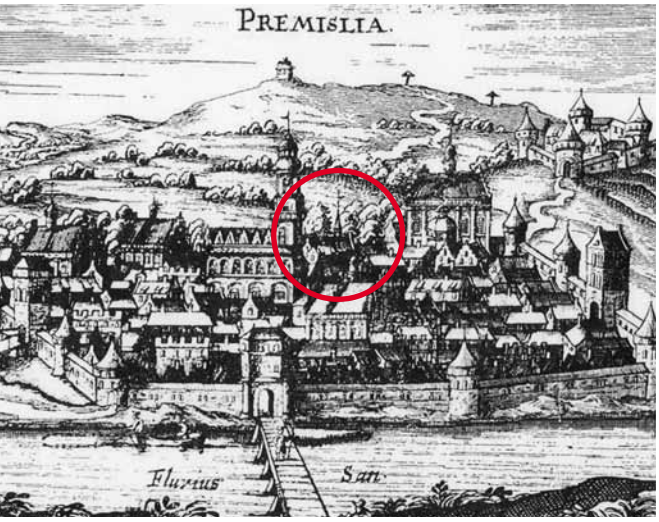

Do prawdy często dochodzimy poprzez analogię. W Przemyślu był kiedyś drewniany kościółek św. Piotra użytkowany przez franciszkanów. Zbudowano go w XIII w. na planie krzyża greckiego. Miał dwie boczne kaplice i trójkątnie zakończone prezbiterium. Przetrwał do 1672 r., kiedy rozebrali go jezuici. Nawa miała wymiary 10×5 m, kaplice 2×4 m i prezbiterium 5×3 m, czyli w obrysie prostokątnym 13×8 m. Znamy jego wygląd ze sztychu Brauna z początków XVII w. Wokół kościoła znajdował się cmentarz. Zapewne podobną budowlą był także pierwszy rymanowski kościółek. Skoro miał trzy ołtarze, to najpewniej był orientowany i wzniesiony na planie krzyża greckiego, podobnie jak kościół św. Piotra w Przemyślu.

Zbigniew Sienieński właściciel Rymanowa na skutek konfliktu z biskupem przemyskim Janem Dziaduskim zerwał po 1547 r. z kościołem katolickim. W kościele św. Andrzeja Apostoła w 1554 r. ks. Tyburcy Borussowski zaczął odprawiać msze w obrządku reformatorskim. Podobnie było np. w Krakowie, gdzie również początkowo nabożeństwa protestanckie odprawiano poza murami miasta. W Rymanowie i okolicy byli już innowiercy, co musiało mieć związek z działalnością ks. Ambrożego Alamanusa. Bez wątpienia wtedy też na cmentarzu przykościelnym zaczęto grzebać zmarłych, którzy odeszli od katolicyzmu. Po jakimś czasie kalwini przejęli także kościół farny, jednak nie później niż w 1596 r. został on zwrócony katolikom. Najpewniej część mieszczan pozostała przy kalwiniźmie, który już wtedy rozpadł się na dwa zbory, właściwy kalwiński i mniejszy ariański, z czasem określany mianem braci polskich. W Rymanowie, jak chce tradycja, pozostała wspólnota ariańska. Niewykluczone, że jeszcze wtedy mogła sprzyjać arianizmowi druga żona Marcina Stadnickiego Magdalena i dlatego przez czas jakiś bracia polscy korzystali z kościoła św. Andrzeja i otaczającego go cmentarza.

Dawny kościółek św. Andrzeja, będący już zborem ariańskim, w połowie XVII w. znajdował się niemal w stanie katastrofalnym. Świadczyłoby to o małej liczebności wspólnoty ariańskiej w mieście w trzecim pokoleniu, której zapewne nie było stać na utrzymanie w dobrym stanie świątyni i plebana. Plebanię bowiem wynajmowano już wtedy na mieszkanie szklarzowi Janowi Sitarzowi i kilku komornikom.

Kiedy miasto opasywano parkanami, w części także murem, a u wjazdu do niego postawiono cztery bramy, zbór ariański celowo pozostawiono poza murami. Zbudowanie niemal naprzeciw niego w latach 40. XVII w. okazałej murowanej synagogi zdaje się świadczyć, iż w tym czasie nadal pozostawał on w rękach arian, w innym bowiem przypadku starano by się nie dopuścić do jej powstania w pobliżu świątyni katolickiej. W tamtym czasie postawienie synagogi wymagało zgody biskupa. Jej lokalizacja nie mogła nastąpić zbyt blisko kościoła, a już na pewno wielkością nie mogła przewyższać pobliskiej świątyni. Jednocześnie Żydzi za zgodę na wybudowanie synagogi musieli opodatkować się i podobnie było w Rymanowie, gdzie od 1640 r. płacili po 2 grosze mesznego rocznie. Co najmniej do połowy XVII w. dawny kościół św. Andrzeja pozostawał w rękach arian, których w 1658 r. ostatecznie wypędzono z Polski. Co prawda protokół powizytacyjny kanonika kapituły przemyskiej Fryderyka Alembeka z 14 października 1640 r. mówi, że parafia powróciła na łono kościoła katolickiego około 40 lat wcześniej, ale nie świadczy to o tym, że w mieście i na przedmieściach nie było już arian, zwłaszcza, że konfederacja warszawska z 1573 r. gwarantowała pokój religijny, a zatem nie można było siłą zmuszać ludzi do zmiany obrządku.

Rekonsekracja kościoła św. Andrzeja nastąpiła zapewne w 1668 r., w 115 lat po przejęciu go przez arian i około 310 latach po zbudowaniu. Został wówczas gruntownie wyremontowany prawdopodobnie staraniem Jana Opalińskiego, cześnika koronnego. Być może także wtedy dostawiono do niego wieżę konstrukcji słupowo-ramowej o pochyłych ścianach, wspierających nadwieszoną izbicę mieszczącą dzwon. Dostawienie wieży miało także aspekt psychologiczny, podwyższało bryłę kościoła stojącego w sąsiedztwie synagogi. Po remoncie przywrócono mu funkcję świątyni filialnej. Niewykluczone jednak, że na cmentarzu ze względu na istniejące groby ariańskie, nie dokonywano przez jakiś czas nowych pochówków, dopóki nie zatarły się ich ślady. Z roku 1722 pochodzi informacja, że prepozyt szpitala, czyli domu ubogich, pochował tam ciała biedaków, za pogrzeby których nie miał kto zapłacić.

W 1745 r. biskup przemyski Wacław Hieronim Sierakowski (1742–1760), wizytujący rymanowską parafię, zanotował, że kościół św. Andrzeja posiada trzy ołtarze, dzwon i sygnaturkę oraz że otoczony jest cmentarzem grzebalnym, a obsługujący go ksiądz korzysta z legacji mieszczańskich, m.in.: Jędrzeja Kilarskiego, Wojciecha Barczoła, Jana Nowotarskiego, Michała Sołtysika, Błażeja Frąckowicza i Józefa Jaklowicza. Nie poczyniono żadnych uwag co do stanu technicznego kościoła, co może świadczyć, iż był on w miarę dobry. Również informacja o cmentarzu przykościelnym wskazuje na jego użytkowanie. Nie napisano o nim „stary" czy „dawny cmentarz", ale cmentarz, to znaczy, że nadal dokonywano na nim katolickich pochówków, zapewne wówczas mieszkańców Posady Dolnej i Ladzina, chociaż zaznaczono, że cmentarz jest niewielki i z jednej strony usunął się. Dekret cesarza Józefa II z 11 grudnia 1783 r., opublikowany 21 stycznia następnego roku, który nakazywał zamknięcie wszystkich przykościelnych cmentarzy, przypieczętował także los tej nekropolii.

Widok terenu dawnego cmentarza od strony ul. Piekarskiej. Wokół kapliczki leżą płyty, być może z dawnej kamiennej posadzki kościoła św. Andrzeja

Budowa nowego kościoła parafialnego zaczęła się w 1778 r. od rozbiórki starej świątyni. W tym czasie, jak można przypuszczać, posługa duszpasterska odbywała się w kościele św. Andrzeja aż do czasu wybudowania i konsekracji nowej fary. Kiedy zatem przestał istnieć kościół św. Andrzeja, czy to skutkiem starości, czy jakiegoś tragicznego zdarzenia – nie wiadomo. Być może drewniany kościółek został rozebrany ze względu na zły stan techniczny, ale może uznano, że nie ma potrzeby utrzymywać dwóch kościołów w mieście. Niewykluczone, że kościół św. Andrzeja przestał istnieć około roku 1790. Przetrwał zatem ze 440 lat. Dla jego upamiętnienia postawiono kapliczkę św. Jana Nepomucena przy obecnej ulicy Kilińskiego (fot. po prawej).

Gdy rozebrano kościół św. Andrzeja, jego wyposażenie przynajmniej w części przeniesiono do nowego kościoła farnego. I tak zapewne do kaplicy Jezusa Ukrzyżowanego trafiła część ołtarza głównego wraz z tabernakulum.

Plan katastralny miasta Rymanowa, sporządzony przez administrację austriacką w 1852 r., uwidacznia przy obecnej ulicy Kilińskiego działkę oznaczoną numerem 196 o powierzchni 12,9 ara. Na działce od strony przylegającej do ulicy zaznaczony jest budynek nr 166 w obrysie 9×5 m oraz istniejąca kapliczka św. Jana Nepomucena. Być może ten budynek postawiono w miejscu dawnej plebanii. W okresie późniejszym nastąpiła przebudowa tej części miasta. Obecna ulica Piekarska, która dochodziła tylko do sąsiadującej z działką 196 działki nr 153, została przedłużona w kierunku rzeki Tabor i otrzymała obecny kształt. Z czasem działka 196 została podzielona na trzy mniejsze, które następnie zabudowano. Fakt istnienia na tym terenie cmentarza potwierdziły wykopane ludzkie szczątki w okresie międzywojennym, kiedy niwelowano teren pod zabudowę domów i obór. Wykopane kości spakowano do worków i przeniesiono na obecny cmentarz katolicki.

Smutkiem napawa fakt, że w miejscu pierwszego kościoła rymanowskiego i na pierwszym rymanowskim cmentarzu stoją szopy i obórki. Miasto mogłoby wykupić ten teren i uczynić go choćby ogrodem pamięci. ■

tekst Barbara Adamska, fot. WikiCom

Refleks sztuki Rembrandta

Muzeum Okręgowe w Rzeszowie posiada jedyną kopię obrazu Rembrandta. Płótno pochodzi z Galerii Dąmbskich, która jak każda kolekcja powstająca w XVIII i na pocz. XIX w. gromadziła kompozycje naśladujące dzieła dawnych mistrzów. Autor regestru zbiorów malarstwa, które pozostawił Łukasz Dąmbski, uznał portret mężczyzny w turbanie za autentyczną pracę Rembrandta. Wizerunek Ozjasza, biblijnego monarchy, jest jednak późniejszą repetycją obrazu wielkiego Holendra, wykonaną przez drezdeńskiego artystę Christiana Wilhelma Ernsta Dietricha (1712–1774).

Płótno w kształcie owalu przedstawia frontalnie ujętą postać poważnego starca. Pełna majestatu figura starotestamentowego władcy wpisana w układ trójkąta tworzy monumentalną, statyczną kompozycję. Strumień światła padającego ukośnie z góry rozbiela tkaninę zawoju na królewskiej głowie. Oświetla policzek nalanego, posępnego oblicza mężczyzny. Ześlizgując się znaczy refleksami złotą klamrę spinającą na piersiach płaszcz. Wyławia z mroku starcze dłonie i połyskującą materię rękawów spodniej szaty. Oczy portretowanego, zapatrzone w przestrzeń pozostają w cieniu. Kolorystyczna tonacja zawężona jest do szlachetnych, ciemnych brązów, głębokich zieleni i szarości wzajemnie przenikających się, skontrastowanych ze złocisto-ugrową karnacją ciała i mieniącymi się odcieniami żółcieni i bieli, którymi malarz oddał lśnienie klejnotów i drogocennych tkanin.

Autentyczne dzieło Rembrandta sygnowane imieniem artysty i datą 1635 przechowuje brytyjska galeria Devonshire Collection w Chatsworth. Rzeszowska repetycja Ozjasza van Rijna jest prawdziwie mistrzowską kopią. Dietrich nie wykonał jej jednak na podstawie rembrandtowskiego oryginału. Wzorem dla niemieckiego malarza było inne dzieło naśladowcze, znakomita kopia wykonana przez któregoś z uczniów wielkiego Holendra jeszcze za jego życia. Ów obraz zakupiony w 1725 r. do kolekcji sztuk i Augusta II Sasa pozostaje dzisiaj w zbiorach Staatliche Kunstsammlung w Dreźnie. Dietrich, słynący z naśladowania stylu barokowego, flamandzkiego i holenderskiego malarstwa z maestrią odtworzył podobieństwo fizjonomii biblijnego króla w sposób niewiele odbiegający od oryginału. Powtórzył kolorystyczną tonację dzieła Rembrandta, olśniewającą wyrafinowanymi tonami. Zmierzył się z najtrudniejszym wyzwaniem jakim było uchwycenie efektów ślizgającego się, złoto-zielonkawego światła. Wnikliwy obserwator zauważy drobną różnicę w kompozycji rysunkowej obu obrazów. Dietrich umieścił w słabo rozjaśnionej partii tła zieleniejący w mroku kształt wielobocznej kopuły budowli, zapewne świątyni jerozolimskiej. Rembrandt w tym samym miejscu pokazał świątynne wnętrze ze stołem ofiarnym, stojącym nań świecznikiem i wiszącymi lampami. Sposób tworzenia materii malarskiej zasadniczo odróżnia kopię Dietricha od rembrandtowego Ozjasza. Obraz z rzeszowskiego muzeum malowany jest zbyt gładko niemal niewidocznymi pociągnięciami pędzla, podczas gdy Holender tworzył wizerunek biblijnego króla nakładając swobodnymi muśnięciami nierówną, chropowatą fakturę farby, zatrzymującą światło.

Rembrandt przyszedł na świat w 1606 r. jako przedostatnie z dziesięciorga dzieci młynarza Harmena i wieśniaczki Neelge. Ojciec jego, człowiek prosty, doceniał niezwykłe zainteresowania syna. Posłał go do kalwińskiej, łacińskiej szkoły z nadzieją, że najzdolniejszy syn będzie kontynuował naukę na uniwersytecie. Biografowie Rembrandta nie są zgodni w kwestii, czy przyszły tytan malarstwa podjął humanistyczne studia na lejdejskiej uczelni.

fot. Muzeum Okręgowe w Rzeszowie

Christian Wilhelm Ernst Dietrich, *Ozjasz*, kopia obrazu Rembrandta, ze zbiorów Muzeum Okręgowego w Rzeszowie

Rembrandt Harmensz van Rijn, *Król Ozjasz zarażony trądem*, 1635 r., Devonshire Collection, Chatsworth

Już w 1624 r. pojawił się w Amsterdamie w pracowni Pietera Lastmana (1583–1633), gdzie przez pół roku uczył się sztuki malarskiej. W następnych latach, spędzonych w rodzinnej Lejdzie prowadził warsztat wspólnie z przyjacielem Janem Lievensem (1607–1674). W 1631 r. przeniósł się do Amsterdamu, bogatego miasta, które przeżywało czasy świetności, dobrobytu, rozkwitu nauki i sztuki, jak i cały holenderski kraj, jeden z najzamożniejszych w ówczesnej Europie. Powodzenie, jakim cieszyły się portrety Rembrandta i pomyślność w życiu prywatnym, gdyż artysta przez małżeństwo z Saskią van Uylenburgh wszedł do majętnej, patrycjuszowskiej rodziny, rokowały mu przyszłość pełną sławy i dostatku. Czasy rodzinnego szczęścia i wielkiego zainteresowania jego sztuką trwały tylko jedną dekadę. W tym czasie artysta wiódł życie ponad stan we wspaniałym domu, gdzie gromadził dzieła sztuki i klejnoty. Ukochaną Saskię ubierał po królewsku w drogocenne szaty i biżuterię.

Wrogie przyjęcie wielkiego płótna, arcydzieła zwanego *Wymarszem strzelców,* zamówionego przez kompanię strzelecką Fransa Banninga Coocka wpędziło malarza w ogromne, niekończące się kłopoty finansowe. W tym samym roku (1642) zmarła Saskia, wycieńczona trudami macierzyństwa i gruźlicą. Artysta pozostał sam z małym Tytusem, jedynym dzieckiem z czwórki potomstwa, które przeżyło okres niemowlęctwa. Długi Rembrandta rosły tak szybko, że utracił swoje zbiory i dom, a wierzyciele kładli sekwestr na jego przyszłych obrazach. Opuścili go uczniowie. Odsunęli się dotychczasowi klienci. Wówczas u boku udręczonego życiem malarza stanęła najbardziej oddana mu kobieta – Hendrikje Stoffels. Piękna wieśniaczka przyjęta do opieki nad osieroconym Tytusem stała się powiernicą mistrza, jego kochanką i modelką. Sprawowała finansową kuratelę nad malarzem-bankrutem. Ochraniała przed wierzycielami jego artystyczny dorobek. Rembrandt nie mógł jej poślubić ze względu na zastrzeżenia zawarte w testamencie Saskii. W 1663 r. Hendrikje zmarła. Wykluczona ze wspólnoty wiernych kalwińskiej gminy jako pozostająca w nieuświęconym związku z mężczyzną przepłaciła zdrowiem ten moralny cios. Pięć lat później Tytus, 27-letni syn artysty odszedł ze świata żywych, osierociwszy młodą żonę i nienarodzone dziecko.

Rembrandt Harmensz van Rijn, *Wymarsz strzelców,* 1642 r., Rijksmuseum, Amsterdam

Ostatnie tragiczne lata życia największego z holenderskich mistrzów upłynęły w osamotnieniu i nędzy. Rembrandt do końca swych dni rejestrował w licznych autoportretach stan własnego ciała i ducha. Ostatnie wizerunki przedstawiają mistrza jako zniedołężniałego starca. A przecież malarz miał w chwili śmierci zaledwie 63 lata. Żegnał się z życiem całkowicie przez współczesnych zapomniany, o czym świadczy suchy zapis w księdze parafii Nesterkerk pod datą 1669: „w piątek 4 października umarł Rembrandt van Rijn, malarz".

Dzieje nowożytnego malarstwa tworzyli znakomici mistrzowie pędzla, lecz tylko nieliczni obdarzeni byli geniuszem. Należał do nich Rembrandt van Rijn. Demonstrował niedoścignione mistrzostwo w każdym malarskim gatunku, czy były to portrety, sceny zbiorowe, czy pejzaże. Wszechstronny malarz, rysownik i grafik przełamywał ograniczenia swojej epoki w zakresie formalnej budowy obrazu. Niespokojnymi ruchami pędzla tworzył szorstkość materii malarskiej, kształtując powierzchnie rozedrgane złotym lśnieniem. Światło u Rembrandta funkcjonowało jako symbol wartościujący. Ukazywało w innym kontekście tematy od dawna zakorzenione w repertuarze sztuki. Pełniło znaczącą rolę w kompozycjach z wprowadzonymi przez artystę nowymi schematami ikonograficznymi. *Ozjasz* z Devonshire Collection powstał w krótkim okresie sławy i powodzenia. Obraz należy do przedstawień opartych na kanwie biblijnych historii. Wyobrażenie władcy Izraela ma swoje źródło w kronikach starotestamentowych królów. Według nich Ozjasz przez pół wieku władał Judeą. Za jego panowania naród izraelski rósł w siłę, dopóki król bogobojnie i z pokorą oddawał cześć Jahwe. Ozjasz wiedziony dumą i pychą spróbował spalić ofiarne kadzidło w pomieszczeniu świątyni zastrzeżonym dla kapłanów. Zareagował gniewem na prośby duchownych, którzy usiłowali udaremnić jego zamiar. Wówczas Jahwe ukarał króla, zsyłając nań straszną chorobę – trąd.

Portret Ozjasza w dziele *Promptuarii Iconum Insigniorum,* Guillaume'a Rouille'a (1518–1589)

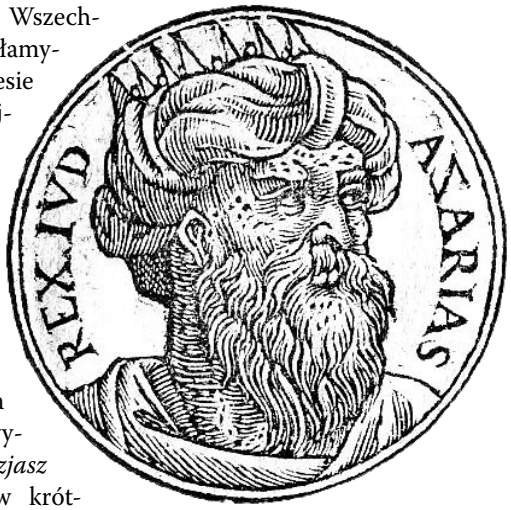

Badacze sztuki Rembrandta mówią, że *Biblia* była jego światem. Artysta tragicznie w życiu do-

Rembrandt Harmensz van Rijn, *Autoportret,* 1669 r., Mauritshuis, Haga

Rembrandt Harmensz van Rijn, od lewej: *Autoportret z Saskią,* ok. 1635 r., Gemäldegalerie Alte Meister, Drezno; *Powrót syna marnotrawnego,* 1668 r., Ermitaż, Petersburg

świadczony poszukiwał w opowieściach starego zakonu istotnego sensu stosunków międzyludzkich. Na jego płótnach bohaterowie *Starego Testamentu:* królowie, prorocy, wodzowie ucieleśniali patriarchalne cnoty. Występowali w charakterze mścicieli krzywd lub grzeszników szukających przebaczenia. *Ozjasz* należy do dzieł, których tematem był człowiek grzeszny. Mistrz z Lejdy jako jeden z nielicznych twórców przedstawiał wewnętrzne stany i przeżycia ludzi, którzy dopuścili się niecnych czynów i cierpią. Takimi są postacie: butnego Ozjasza, zdradzieckiego Hamana i Judasza. W malarstwie i grafice van Rijna powracał motyw syna marnotrawnego, począwszy od drezdeńskiego *Autoportretu z Saskią* (1637), gdzie młody malarz identyfikuje się z ewangelicznym utracjuszem, aż po przedśmiertne arcydzieło w kolekcji Ermitażu *Powrót syna marnotrawnego* (1669), w którym grzesznik doprasza się łaski i uzyskuje przebaczenie. Rembrandt przebierał aktorów biblijnych dramatów w orientalizujące kostiumy. Działał podobnie jak wielu współczesnych mu artystów akcentujących archaiczność postaci ze Starego Testamentu przez egzotykę ich stroju. Również wielka, malarska pasja mistrza sprzyjała odtwarzaniu starych, spłowiałych tkanin, przetykanych srebrem, złotem i wyławianych z mroku klejnotów. Starszy mężczyzna, którego Rembrandt portretował pod postacią Ozjasza nieraz służył malarzowi jako model, przyodziany w drogocenne, wschodnie szaty i biżuteryjne ozdoby. Przykładami są obrazy datowane na lata 1633 i 1634: *Portret mężczyzny w orientalnym ubiorze* ze Starej Pinakoteki monachijskiej i *Uczony z księgą na pulpicie,* ze z biorów Narodowej Galerii w Pradze.

Rembrandt Harmensz van Rijn, *Portret mężczyzny w orientalnym ubiorze,* 1633 r., Alte Pinakothek, Monachium

Dla Christiana Wilhelma Ernsta Dietricha (1712–1774), autora muzealnej kopii los był znacznie łaskawszy niż dla wielkiego Holendra. Pierwsze wykształcenie zdobywał w pracowni ojca Johanna Georga, dworskiego miniaturzysty. Później kształcił go pejzażysta Aleksander Thiele (1685–1752). Podobno August II Sas zachwycony imitatorskimi zdolnościami młodego adepta malarstwa, wspaniale naśladującego sztukę dawnych mistrzów finansował jego zagraniczne studia. Dietrich w czasie artystycznych podróży do Holandii i Włoch ciągle doskonalił umiejętności wszechstronnego kopisty. Potrafił naśladować dzieła pejzażystów, od Everdingena do Salvatora Rosy, kompozycje holenderskich mistrzów malarstwa rodzajowego i sceny wytwornych dworskich zabaw w stylu Bouchera. Najwięcej sukcesów zawdzięczał umiejętności naśladowania Rembrandta. Eklektyczna twórczość saskiego mistrza, charakteryzująca się dość powierzchowną wirtuozerią cieszyła się tak niezwykłym powodzeniem, że szybko osiągnął szczyt artystycznej kariery. W 1741 r. – jako malarz dworu Augusta III w Dreźnie – pobierał roczną pensję wysokości 400 talarów. W 1746 r. powierzono mu funkcję inspektora królewskich galerii, a w 1763 r. został dyrektorem szkoły malarstwa na porcelanie w miśnieńskiej manufakturze. Dwa lata później piastował stanowisko profesora Drezdeńskiej Akademii.

Anton Graff, *Portret Christiana Wilhelma Ernsta Dietricha,* 1767 r., Staatliche Museen, Berlin

Christian W.E. Dietrich, od lewej: *Dwunastoletni Chrystus nauczający w Świątyni,* Muzeum Czartoryskich, Kraków; *Scena komediowa w parku,* Dom Aukcyjny Sotheby's

Z 1767 r. pochodzi portret Dietricha pędzla Antona Graffa (1736–1813). Wizerunek lekko otyłego mężczyzny, po pięćdziesiątce postrzegam jako podobiznę pogodnego człowieka, zadowolonego z życia, spoglądającego na świat wzrokiem pełnym życzliwości i zaciekawienia, ceniącego komfort i zbytek, o czym świadczy wygodny, elegancki domowy strój i wnętrze znakomicie wyposażonej, przestronnej pracowni malarskiej.

Rembrandt nie doczekał się uznania za życia. O niepowodzeniu jego sztuki decydowała zapewne nasilająca się w Holandii ekspansja malarstwa akademickiego, opartego na narracji. Wielkość mistrza z Lejdy odkryli dopiero romantycy w poł. XIX w. Orędownik twórczości van Rijna, wybitny francuski malarz Eugène Delacroix w 1851 r. pisał: „Być może nadejdzie kiedyś dzień – gdy Rembrandt zostanie uznany za malarza większego niż Rafael". Wcześniej, bo jeszcze w XVIII w. dzieła van Rijna zaczęły przykuwać uwagę kolekcjonerów, lecz był to tylko przejaw ogólnych zainteresowań sztuką holenderską i flamandzką, której dzieła zaczynały przeważać w kształtowanych wówczas galeriach. Podziw dla malarstwa wielkiego Holendra żywili niektórzy władcy czasów Oświecenia. Obrazy lejdejskiego mistrza pozyskiwali do swoich zbiorów August II Sas, caryca Katarzyna II i Stanisław August Poniatowski. W galerii tworzonej przez ostatniego króla Polski wisiało co najmniej 10 obrazów przypisywanych Rembrandtowi. Nie wszystkie przetrwały do naszych czasów. Dla niektórych nie udało się utrzymać ich atrybucji. Według prof. Michała Walickiego w królewskiej kolekcji pozostawało sześć bezspornych dzieł tego mistrza. Wśród nich słynny *Jeździec polski* zwany *Lisowczykiem* (ok. 1665 r., Frick Collection, Nowy Jork) i para obrazów pomyślanych jako pendant: *Żydowska narzeczona* i *Portret ojca narzeczonej*. Dwa ostatnie dzieła po likwidacji Królewskiej Galerii trafiły do rąk Kazimierza Rzewuskiego, skąd drogą podziałów rodowych majętności weszły do zbiorów Lanckorońskich w Wiedniu. Odkąd prof. Karolina Lanckorońska darowała narodowi polskiemu arcydzieła gromadzone w rodzinnej kolekcji oba portrety możemy podziwiać na ekspozycji w Zamku Królewskim w Warszawie. ■

Wybrana literatura:

Adamska B. , *Obraz i jego odbicie,* Rzeszów 1998.

Białostocki J., *Badania ikonograficzne nad Rembrandtem,* [w:] *Symbole i obrazy w świecie sztuki,* Warszawa 1982.

Białostocki J., *Grzesznik jako bohater w sztuce Rembrandta,* [w:] *Symbole i obrazy...,* dz. cyt.

Białostocki J., *Rembrandt i Lievens,* [w:] *Refleksje i syntezy ze świata sztuki,* cykl II, Warszawa 1987.

Dobrzycka A., *Rembrandt,* Warszawa 1958.

Lachi Ch., *Sztuka baroku,* [w:] *Wielka Historia Sztuki,* t. 5 , Warszawa 2011.

Monkiewicz M., *Rembrandt,* [w:] *Sztuka Świata,* t. 7, Warszawa 1994.

Walicki M., *Rembrandt w Polsce,* [w:] *Obrazy dalekie i bliskie,* Warszawa 1963.

Rembrandt, od lewej: *Żydowska narzeczona* i *Ojciec żydowskiej narzeczonej,* 1641 r., Zamek Królewski w Warszawie

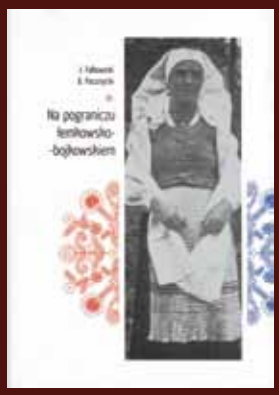

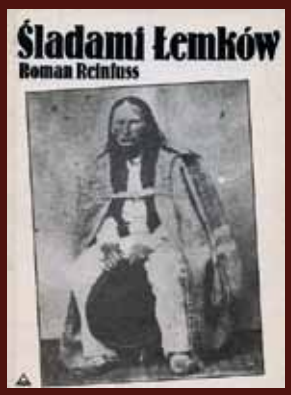

Fundamentalna literatura naukowa dotycząca zagadnień etnicznych obszaru Bieszczadów i Beskidu Niskiego sięga początków XX w. Z dostępnych reprintów wymienić należy publikacje Jana Falkowskiego i Bazylego Pasznyckiego *Na pograniczu łemkowsko-bojkowskim. Zarys etnograficzny,* Lwów 1935, jak i Krystyny Pieradzkiej *Na szlakach Łemkowszczyzny,* Kraków 1939. Do klasycznych już dzieł zaliczyć należy także pracę Romana Reinfussa *Śladami Łemków,* Warszawa 1990, w której zobaczyć można szereg archiwalnych zdjęć wykonanych przez autora w latach 30. XX w. na terenie Beskidu.

Kolejna grupa książek, i to chyba najobszerniejsza, to przewodniki. Spośród wielu polecimy trzy, z których dwa są dziełem Oficyny Wydawniczej Rewasz. *Bieszczady. Przewodnik dla prawdziwego turysty,* Pruszków 2009 (12 wydanie!!!) to kompendium wiedzy o Bieszczadach z zakresu historii, geografii, przyrody, etnografii i socjologii dawniej i dziś. Nie mniej cenny jest słownik zawierający szczegółowe informacje o miejscowościach, także o tych nieistniejących. Dla obszaru na zachód od tego terenu równie ważna jest publikacja *Beskid Niski. Przewodnik dla prawdziwego turysty,* Pruszków 2007. Z kolei do najnowszych przewodników zaliczyć można bogato ilustrowaną książkę Stanisława Kłosa *Bieszczady. Ostatni taki zakątek,* Warszawa 2012.

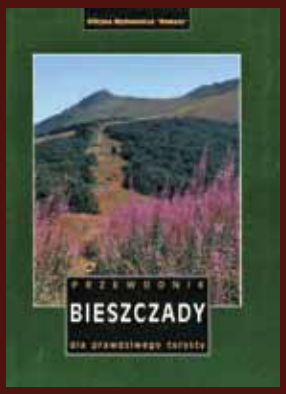

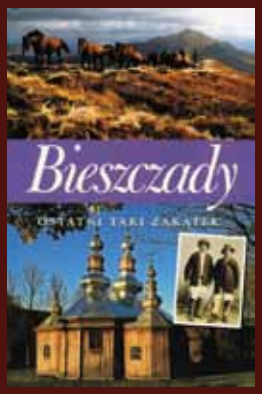

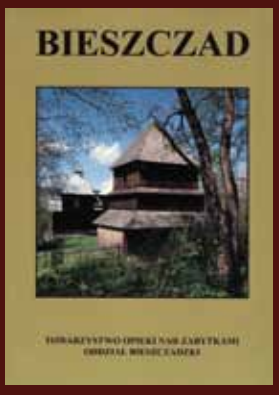

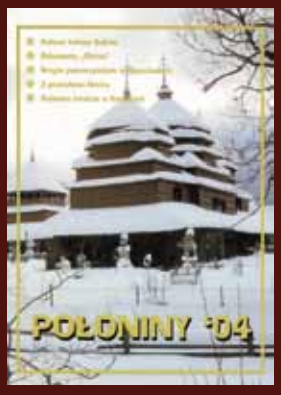

Polska część Karpat ma niezwykłe szczęście do wydawnictw cyklicznych, wystarczy wspomnieć o periodykach „Wierchy" (jeszcze z przedwojenną tradycją). Polecamy także wydawany od 1987 r. „Almanach Karpacki Płaj", poświęcony historii, etnografii, przyrodzie i kulturze Karpat. Od 1990 r. jest to półrocznik Towarzystwa Karpackiego, do tej pory ukazało się 41 tomów. Z kolei „Bieszczad" to rocznik wydawany przez Towarzystwo Opieki nad Zabytkami Oddział Bieszczadzki. Każdy z dotychczasowych 17 tomów podkreśla wielonarodowy i wielokulturowy charakter regionu oraz jego skomplikowaną historię. Natomiast Studenckie Koło Przewodników Beskidzkich z Warszawy od początku lat 70. XX w. wydaje (z przerwami) dwa roczniki: „Połoniny" i „Magury".

Bieszczady i Beskid Niski to także ciekawe historie, czasami na pograniczu legendy czy wręcz fantazji. Niezwykle „łakomy kąsek" dla fachowców od pióra. Stąd też „wysyp" tego typu publikacji, z których do najciekawszych należy praca Stanisława Orłowskiego *Tołhaje czyli zbóje w Bieszczadach,* Rzeszów 2010, o bieszczadzkich zbójnikach, których dzieje i obraz epoki, w jakiej przyszło im żyć, należą do mało znanych kart przeszłości tej ziemi. Kolejna starsza nieco publikacja Edwarda Marszałka *Z karpackich lasów,* Krosno 2003, to pisane ze swadą opowieści z historii, przyrody, etnografii Bieszczadów, Beskidu Niskiego i Pogórzy. I wreszcie Andrzeja Potockiego *Księgi legend karpackich,* Rzeszów 2012, będąca swoistą dokumentacja demonologii obszaru Karpat.

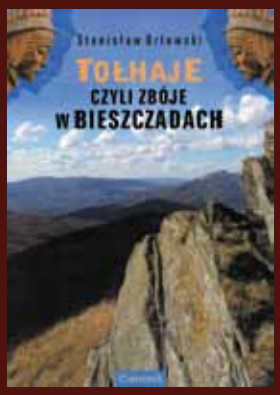

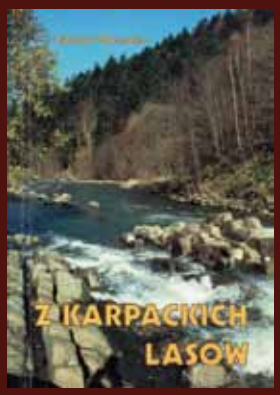

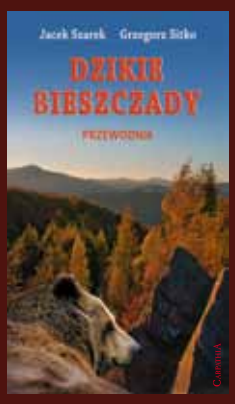

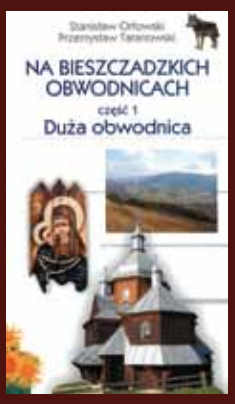

I na koniec mocny zestaw przewodników.
Grzegorz Sitko, Jacek Szarek i ich *Dzikie Bieszczady. Przewodnik,* Rzeszów 2011. Ta książka to więcej niż zwykły przewodnik. Dzięki niej można się dowiedzieć, kiedy przyjechać w góry, żeby zobaczyć niesamowite spektakle wschodniokarpackiej natury, a także nauczyć się rozpoznawać przyrodnicze osobliwości połonin i tropić dzikie zwierzęta. Lektura to także okazja poznania tajemnic bieszczadzkiej historii. Dwutomowy przewodnik *Na bieszczadzkich obwodnicach:* cz. 1 *Duża obwodnica* autorstwa Stanisława Orłowskiego i Przemysława Taranowskiego, Rzeszów 2008 oraz cz. 2 *Mała obwodnica* Stanisława Orłowskiego to szczegółowy bedecker o Bieszczadach. Zawiera gotową ofertę turystyczną w formie propozycji tras i wycieczek, a także szereg informacji niezbędnych dla osób przybywających w tym rejonie.